

... archipelagi ...

magdalena tulli  
sny i kamienie



**Magdalena Tulli**

# **SNY I KAMIENIE**

Drzewo świata, jak wszystkie drzewa, z początkiem sezonu wegetacji wypuszcza delikatne złotawe listki, które z czasem nabierają ciemnozielonej barwy ze srebrnym połyskiem. Potem są żółte i czerwone, jakby płonęły żywym ogniem, a kiedy już spłoną, brązowieją i spadają na ziemię poszarpane i dziurawe, podobne do spopielałych papierów, do przerdzewiających na wylot blaszanek. Przez cały czas, także na początku sezonu wegetacji, kiedy jest najpiękniej i najwięcej ptaków śpiewa wśród gałęzi, rośnie w głąb ziemi wilgotne i ciemne przeciwdrzewo, obgryzane przez robaki. Podziemny konar jest przedłużeniem konara nadziemnego, każda gałąź połączona jest niewidocznym akweduktem z przeciwgałę - zią, przywaloną tonami ziemi.

Pod koniec sezonu wegetacji drzewo świata obwieszane jest owocami. Owoce dojrzewają, spadają i gniją. W każdym tkwi pestka, w pestce zawiązek drzewa i przeciwdrzewa, korona i korzeń. Wszystkie przyszłe sezony wegetacji czekają na swój czas w pestkach, w zawiązkach, w zawiązkach zawiązków. Owoce należą do drzewa, lecz mieści w sobie całe przyszłe drzewo razem z owocami, jakie na nim wyrosną.

Miasta, dojrzewające na drzewie świata, jak jabłka są zamknięte w swoim kształcie, powleczone barwą. Wszystkie takie same: każde inne. Wcieleniem pojedynczej możliwości z rejestru tego co możliwe jest nawet nazwa wypisana nad peronami. Jedna rzeka - drugiej nie potrzeba - określa swój bieg gruntownie i raz na zawsze. Jeden spis ulic, jeden ogród zoologiczny. Mieszkańcy znają na pamięć odcienie chmur na niebie i tynków. Cokolwiek stanie się jakieś, nie może już być inne. Jego mieszkańcom towarzyszy - szy więc poczucie straty. Przemierzając miasto zaczynają jeden przez drugiego, jakby w gorączce, mnożyć wyobrażenia tego, czym jeszcze mogłoby ono być. Na przykład, jeśli ich rzeka płynie szeroko i leniwie między piaszczystymi brzegami, muszą stworzyć inną, głęboką, o urwistych brzegach porośniętych zielskiem, która nie jest im dana. Toteż kiedy miasto zawiązuje się, kiedy dojrzewa i kiedy gnije, zawiera w sobie wszystkie naraz możliwości i cały plan świata. Jest częścią i całością, bezkresem i zapadłą dziurą zabita deskami. Wytworem świata i zarazem otchłanią w której świat musi się pomieścić, mały jak śliwka, co wpadła w kompot. Główna zasada porządkująca większe i mniejsze całości głosi bowiem, że małe zawiera się w wielkim a wielkie w małym. Dzięki temu świat istnieje. Inaczej nie miałby gdzie się podziać.

Gdy drzewo świata zapłonęło żywym ogniem i spopielałe liście spadły z jego gałęzi, z zawieruszonej pestki w niedługim czasie coś zaczęło kiełkować. Dlaczego właśnie wtedy, dlaczego w tym miejscu i dlaczego tak? Zależało to od niepowtarzalnych właściwości sezonu,

od jakości gleby i od wiatrów; krótko mówiąc, nie mogło być inaczej. Zaczęły rosnać jednocześnie budowle publiczne i mieszkalne, wielkie, średnie i nieduże, strzeliste lub kłocowate, ozdobne lub zwyczajne. Wyrastały spod ziemi i pięły się wyżej, otoczone drewnianymi rusztowaniami, w obłokach wapiennego pyłu, wśród zamętu i wrzawy, wśród skrzypienia tacek, chrobotu kielni, nagłych ostrzegawczych okrzyków i głuchego odgłosu spadających cegieł.

Nie wiadomo, skąd brała się siła, która poruszała to wszystko i sprawiała, że ściany parły w górę. Ileż to łopat gliny trzeba wyrzucić aby powstał jeden wykop, ileż się trzeba natrudzić, zanim mury ukażą się ponad krawędzią wykopu, nie mówiąc już nic o dachach, futrynach, tynkach. Przeznaczeniem nasienia jest pęcznienie, kiełkowanie i wzrost, tkwiąca w nim siła temu tylko służy, ona to wciąga wodę, piasek i wapno w obieg substancji konieczny do tego, by mury rosły. Zwały gliniastej ziemi potrzebowały - jak wody, bez której nie ma kiełkowania - wiary. Tej nie brakowało. Przepelniała serca woźących cement i podających cegły. Zwały ziemi wchłonęły jej tyle, ile tylko mogły. Wiary wówczas nie brakowało, inaczej niż wiedzy, której, jak się wydaje, było jeszcze niewiele. Bo tylko nie znając rozmiarów podjętego dzieła można tak kopać i kopać w ziemi i nie bać się lawiny dalszych powinności, którą to nieuchronnie wyzwoli. I którą można by zatrzymać w jeden tylko sposób: zasypując czym prędzej wykopy, tak, aby już nie było niczego do dokończenia. Żadna wątpliwość nie mąciła umysłów, kładący cegły wierzyli w to, że pion jest pionem a poziom poziomem, mur nie jest niczym innym niż pionową ścianą z cegieł a dach jest potrzebny żeby deszcz nie padał do środka. Wierzyli również w to, że wszystko, co umysł stworzy (nawet agrafki, nawet kalafonia) powinno być na świecie. Nikt nie wątpił, że w mieście muszą być ulice. A także polewaczki do polewania ulic w upalny dzień, kiedy się kurzy, a także tramwaje i ciężarówki, które jeździłyby dniem i nocą z jednego przedmieścia na drugie i z powrotem. Że trzeba stworzyć szoferów, monterów, motorniczych i konduktorki, pielęgniarki i milicjantów.

Żeby ten cały tłum powołać do życia, wystarczyło uszyć drelichowe kombinezony, białe fartuchy ze sztywnymi czepkami i mundury z szarego sukna. W związku z tym musiały jednak być na świecie maszyny do produkcji przędzy i maszyny tkackie, igły do szycia, nożyce krawieckie i tak dalej. Wkrótce po powstaniu tego świata wszystkie rzeczy potrzebne były niezwłocznie i wszystkie równocześnie i wraz z nimi konieczne było to co miało posłużyć do ich zrobienia - ręce, maszyny, prąd elektryczny. I surowce: stal, węgiel, nafta, papier i atrament, nie mówiąc już o żółtej farbie olejnej do malowania ścian w poczekalniach.

Z tak wielkiego spiętrzenia potrzeb nie cierpiących zwłoki rodziło się napięcie i

niepewność. Cóż bowiem miało być pierwsze, tokarka czy śruba do niej, żeliwo czy wielki piec, jajko czy kura? świat, wylaniający się dopiero z pierwotnego zamieszania, znalazł się od razu przed nawałem pracy zakrojonej na siły olbrzymów, ogromnej jak on sam, mozolnej jak nawlekanie igły, przed dziełem, którego bezmiar wchłaniał bez śladu pierwsze łopaty gliny z miejsc przeznaczonych pod fundamenty przyszłych fabryk.

Wyprodukowano ebonitowe aparaty telefoniczne, do których należało wrzeszczyć zasłaniając sobie ręką jedno ucho, tekturowe aktówki zawiązywane na kokardki, wielkie czarne maszyny do pisania, kopiowe ołówki i wiele innych rzeczy. Pojawiły się masywne kałamarze z grubego szkła, drewniane suszki do atramentu obłożone bibułą w granatowe plamy, obsadki do stalówek i stalówki same. Meble pachniały świeżą politurą. Ciemna czerwień napisów rozkwitła na ścianach, obwieszając nadejście czasów granitu i piaskowca w płytach ważących po dwie tony każda: początek epoki ogromnych bloków szarego marmuru oraz wszelkich innych nieprzejrzystych i wiecznie trwałych materiałów budowlanych, pełnych godności, jedynie właściwych do ozdoby monumentalnych fasad i wnętrz. Rdzeniem tego miasta był jednak okrągły miliard czerwonych cegieł, solidnych, niewyszukanych, prawdziwych. Każda z nich przeszła przez wiele rąk i wszystkie znikły pod tynkami i okładzinami z piaskowca. Odłamkami czerwonych cegieł dzieci długo jeszcze bawiły się pod czystym niebem podwórek.

W tych szczęśliwych czasach wszystkie przyszłe dni wydawały się świeżutki i ładnie poskładane, jak młode listki, które nie wyjrzały jeszcze z pąków. Każdy chłopiec miał zostać pilotem, każda dziewczynka nauczycielką. A w szatniach już zawczasu wisiały skórzane czapki pilotki, na każdym skrawku betonu mnożyły się klasy, koślawo obwiedzione białą kredą. Wszystko było możliwe. świat wyglądał porządnie, fundamenty były głębokie, mury grube, rury zupełnie nowe. Myśląc „świat”, wyobrażano sobie przede wszystkim to, czego można dotknąć: mury i rury, sypki piasek, miękką glinę, chłodną wodę, szorstkie odłamki czerwonych cegieł, wapienny pył. I to, co można oglądać tylko z daleka, ale co zawsze wraca na swoje miejsce o właściwej porze doby i roku: słońce i gwiazdy na niebie, sztandar łopocący na wietrze. A także to, co jest zawsze i o czym się nie rozmyśla: powietrze w płucach, ziemię pod stopami. Stąpano po niej ufnie, nie wątpiąc, że istnieje naprawdę.

Wyrastanie miasta pod wieloma względami przypomina wyrastanie drzewa. Dwie ulice na krzyż, wytyczone na początku, pączkują coraz liczniejszymi przecznicami, które z czasem wypuszczą swoje własne, i tak bez końca. Powstają kolejne skrzyżowania, miękkie nawierzchnie okrywają się brukiem, rozbudowują się ukryte pod nawierzchniami sieci wodociągowe. Drzewo wyrasta dzięki witalności nasienia i dzięki sokom czerpanym z ziemi,

ale kształt i gęstość korony zależy od kogoś kto podciął gałązki sekatorem. Miasto też wyrasta dzięki sile i wierze. Ale jego plan najoczywiej zależy od tego, jak wytyczono fundamenty. Toteż analizując układ ulic można odgadnąć wolę i poglądy, które się na nim odcisnęły.

Układ ulic był zaś tak pomyślany, by udaremniał przypadkowe wydarzenia i zapobiegał pokrętnym myślom. Gdyż życie jest z pewnego punktu widzenia tylko repliką zabudowy, ład miasta wymusza ład umysłów. Twórcy planu, kimkolwiek byli, osiągnęli swoje cele nie siląc się na żadne podejrzane sztuczki urbanistyczne. Żadnego detalu nie pominęli w swoich decyzjach, żądania stawiali podniesionym głosem, z komplikacjami radzili sobie waląc pięścią w stół. Nie musieli naginać swych zamysłów do prawideł sztuki, nie byli bowiem wcale architektami. Wyzywająca prostota niektórych rozwiązań wskazuje, że poniekąd byli z tego dumni. Nie znali się na logarytmach, ale rozumieli, że złożoność jest przyczyną błędów. Szukali zasady budowania określającej kształt miasta definitywnie i wszechstronnie, mogącej na zawsze uchronić nasze życie przed skażeniem wieloznacznością.

Tu trzeba wyjaśnić tonem nie znoszącym sprzeciwu, że główną zasadą miasta może być kąt prosty, meander albo gwiazda, co kształtuje zdarzenia, jakie będą rozgrywać się w mieście od samego początku jego istnienia: spotkania, kolizje, zbiegi okoliczności. Nie mówiąc już o cyrkulacji chmur. Z rysunku technicznego wynikają życiowe konieczności, ze wzorów zapisanych w podręcznikach biorą się prawa fizyki, nigdy odwrotnie.

Na przykład miasto kątów prostych ma to do siebie, że położenie jednej rzeczy w stosunku do innej nie oznacza nic ponad odległość i kierunek. Przestrzeń nie może wchłonać ani przekazać żadnych treści oprócz czysto praktycznych, powierzchniowych i obojętnych. Każdy narożnik jest jednakowo ważny. Pomniki są tylko figurami z kamienia zanieczyszczanymi przez gołębie. Wartość gruntów, regulowaną przez podaż i popyt, można łatwo wyrazić w obiegowej walucie. Wahania kursów giełdowych nie poddają się niczyjej woli. Nie ma żadnej siły zdolnej przechylić równo obciążone szale. Niczego, co zapewni ukazywanie się samych orłów lub reszek na rzucanych w górę monetach. Niczego, co sprawi, każda wyciągnięta z talii karta okaże się asem kier, lub przeciwnie, dwójką pik. Przez punkt nie leżący na prostej zawsze można przeprowadzić tylko jedną prostą równoległą do tamtej, a dwa i dwa to cztery. Dlatego nawet sprawiedliwość jest w nim pedantyczna jak arytmetyka, wyzuta z natchnienia i rozmachu, przewidywalna.

Zasada meandra czyni z ulic chaotyczny labirynt, wywołując niezliczoną ilość nakładających się na siebie i przenikających się figur rozmaitego kształtu, z których każda może okazać się częścią większej całości. Miasto podporządkowane zasadzie meandra okaże się pełne kuszących lub przestraszających możliwości, smakowitych lub obrzydliwych

resztek, pociągających lub odpychających zapachów, pomieszanych dźwięków; szyld na szyldzie, riksza za rikszą, bez jednego centymetra wolnej przestrzeni. Z każdego placu na sąsiedni prowadzi rozmaitość dróg, od której mieszkańcom kręci się w głowach i od której mają rozbiegane oczy a umysły zaśmiecone nieustannym rozważaniem alternatyw. Wszystko okazuje się względne a śledzenie stosunku wynikania, przypisywanie skutkom przyczyn, wytyczanie linii równoległych, wymierzanie sprawiedliwości w ogóle nie jest tam możliwe.

Tylko mieszkańcy miasta zbudowanego na planie gwiazdy nigdy nie są nękani koniecznością wyboru. Mogą poruszać się jedynie po liniach prostych, lecz w pewnym sensie wszystkie proste są tam równoległe. W każdym miejscu otwiera się tylko jedna właściwa droga. Przechodnie patrzą więc spokojnym wzrokiem prosto przed siebie, co nadaje im wyraz łagodności i budzi zaufanie. Główne ulice zmierzają tam promieniście do najważniejszego punktu wyznaczającego prawdziwy środek. W nim umiejscowione jest serce miasta. Stamtąd całe miasto widać jak na dłoni, można je w mgnieniu oka przejrzeć na wylot razem z jego wnętrzami a nawet studzienkami telefonicznymi, kanałami burzowymi, ciągami piwnic. Zawiera ono w sobie trwały zapis porządku świata, do którego należy, oraz bezcenny gotowy schemat ocen, jakie będą w nim przypisane rzeczom. Siła ciężenia przedmiotów umieszczonych na szalkach wagi zależy w nim będzie nie tylko od ich masy, lecz przede wszystkim od oceny. Dzięki przenikliwości ocen - od faktów dokonanych nieraz bardziej godne pochwały lub wzgardy okażą się te, które nie miały miejsca.

Na czystym papierze kreślarskim najłatwiej o prostokąty. Za sprawą mechanicznych właściwości przyrządów kreślarskich same z siebie mnożą się na jego powierzchni i zostawiają miejsca na nic innego. Gwiazdy zaś rodzą się w głowach. Tam, daleko od ziemi, od tego siedliska mrówek i dżdżownic, rozbłyskują nagle, a ich niepowstrzymane promienie na wskroś przesywają ciemności. Nie wiadomo tylko skąd bierze się meander, obcy trzeźwemu rachunkowi który wspomaga ruchy ekierki, lecz równie obcy świetlistym rojeniom. Pokrętny kształt jest świadectwem oporu, jaki istocie meandra stawiają pospołu liniał z ekierką i myśl rządząca ołówkiem. Promień gwiazdy zakrzywia się w polu przyciągania każdego prostokąta a wyrwawszy się znów próbuje prostej drogi - i jeszcze raz, i po raz kolejny, zawsze bez powodzenia. Zawilość rysunku dowodzi, że utkany z marzeń plan gwiazdy nie przystaje do przyziemnego planu kątów prostych powstałych z linii kreślonych na papierze. Ale między siłami prostokąta i gwiazdy może ustalić się stan równowagi, utrzymywany wśród meandrów ideologii i suchej kalkulacji.

A sam zamysł wytyczenia linii? Czemu zaczęto je rysować, nie czekając, aż same pojawią się na płaszczyźnie papieru albo też w przestrzeni? Każąc rysować linie,

budowniczo opowiedzieli się za jedną z prawd możliwych do pomyślenia, za założeniem, które na zawsze pozostanie kwestią wiary, niesprawdzalność leży bowiem w jego naturze. Choć pozostawione w domyśle, nietrudno je odczytać. Głosi ono, że to nie siła kiełkujących nasion i nie ciśnienie soków krążących między korzeniem i koroną daje światu życie, tylko wprawiają go w ruch motory, przekładnie i koła zębate, urządzenia obracające słońce i gwiazdy, ciągnące chmury po nieboskłonie, przepychające wodę przez koryto rzeki. Przejrzystość i prostota tego pomysłu okaże się zbawienna. Pozwoli wymontować, naprawić i zamontować z powrotem każdy popsuty element - jeśli tylko świat składa się z oddzielnych i dających się wyjmować części i każdy proces może być skorygowany niezależnie od wszystkich pozostałych, bez obawy, że całość utraci równowagę. Inaczej mówiąc, miasta gwiaździste i miasta prostokątne są lepsze od miasta-meandra pod warunkiem, że świat jest maszyną. Oto założenie.

Budowniczo mieli przywilej pewności. Oni znali prawdy nie poddające się wątpieniu. Lecz zachowali je dla siebie. Skąd teraz czerpać pewność, że świat jest maszyną, skoro pod tak wieloma względami przypomina drzewo? Jak drzewo z przeciwdrzewem, tak każda na świecie rzecz połączona jest z przeciwrzeczą a wszystko co widoczne jest powiązane z czymś co niewidoczne. Między widoczną i niewidoczną częścią drzewa trwa nieustanny przepływ soków od korzenia ku liściom. Żółknąc i opadając, liście opuszczają wyżyny konarów i wracają tam, skąd pochodzi ich substancja - w stronę korzenia. Stają się ciemne i wilgotnie jak on, mieszają się z ziemią i z wodą i kiedy są już niewidoczne, zostają wciągnięte do jego wnętrza. Bez względu na życiodajny przepływ oddzielenie drzewa od przeciwdrzewa jest technicznie możliwe. Budowniczo z powodzeniem ścinali drzewa. Choć należy tutaj zaznaczyć, że podczas tego zabiegu życie ulatuje z obu części. Podobnie dzieje się z każdą inną rzeczą: po oddzieleniu widocznej części od części niewidocznej wszystko więdnie i usycha. Nie wszystko, twierdzą niektórzy, i oni także coś wiedzą. Ale to, co przetrwało, zawsze okazywało się częścią dekoracji teatralnej albo snu.

Nie wiadomo, jakiej trzymać się prawdy. Kiedy myślimy o świecie jak o drzewie, widzimy drzewo, kiedy myślimy o nim jak o maszynie, staje się maszyną. W obu wypadkach obserwacja potwierdza założenia, w obu wszystko się zgadza. Rzeczy nie są opatrzone żadnym rozstrzygającym znakiem, żadną sentencją, do której można by się odwołać. Kto tylko powie „jest drzewem”, z miejsca pomyśli o maszynie, kto powie „jest maszyną” pomyśli od razu o drzewie. Dlatego słowa „jest drzewem” i „nie jest drzewem” znaczą w istocie to samo. Czyż nie byłoby lepiej, gdyby twórcy projektu mieli rację? Obchodzili się ze światem jak z maszyną, gotowi w każdej chwili wyjąć co trzeba i zreperować. A dzięki



pewności, która była ich udziałem, oddzielenie rzeczy od przeciwrzeczy okazywało się dziecinnie proste. Maszyna bowiem nie ma w sobie niczego, co mogłoby ulec zniszczeniu w czasie operacji oddzielania. Jest nieożywiona z założenia i od początku, i nikt nie spodziewa się, że będzie inaczej. Po zdjęciu obudowy widać części. Nie ma tam żadnej tajemnicy, nic nieuchwytnego, nic, czego nie można by dotknąć. Nawet reguły psucia się części są całkowicie jasne. Wiadomo, że mają związek z dostawaniem się kurzu i pary wodnej do wnętrza mechanizmu. Jeśli świat jest maszyną, to oddzielanie rzeczy od przeciwrzeczy musi się zacząć od uszczelnienia obudowy. Od wykonania sklepienia, które oprze się na twardym gruncie. Za jego sprawą rozstępują się wody górne i dolne i odtąd wiadomo gdzie góra a gdzie dół, co jest porządkiem i stałością a co chaosem i zmianą. I dopiero wtedy można odróżnić dzień od nocy.

Szczelna obudowa chroni przed zewnętrznym kurzem i zewnętrzną wilgocią. Lecz rozwiązanie jednego problemu otwiera drogę kolejnym komplikacjom. Trzeba zakładać instalacje chłodzące, które ochronią mechanizm przed przegrzaniem. Im więcej tych wspomagających urządzeń, tym więcej wewnętrznego kurzu i wewnętrznej pary wodnej, uwalnianej za sprawą tarcia i różnic temperatur. Ostateczne oddzielenie ruchu od tarcia, ciepła od zimna, dobra od zła wymaga jedynie instalacji do odprowadzania pary, kurzu i śmieci poza kopułę nieba wprost do błękitnych wód kłębiących się po tamtej stronie sklepienia. Trudność rozdzielania miasta i przeciwmieścia sprowadza się więc do zasilania wszystkich niezbędnych urządzeń. Zgodnie z koncepcją twórców projektu, bezpieczna sucha przestrzeń pod sklepieniem potrzebuje dobrych uszczelnień i silnych elektrowni.

Miasto rozpościerające się na kartonie kreślarskim miało w sobie coś uroczystego. Zaprojektowano je z myślą o słonecznych dniach i nawet nie było wiadomo, jak miałyby w nim wyglądać słońca. Chodniki z równych płyt przypominały pokratkowany papier, albo też odwrotnie: papier w kratkę udawał płyty chodnika. Nie było tam miejsca na walające się po śmietnikach odpadki kuchenne. Przy jednej z ulic mieściło się przedszkole, drugą chodzili murarze w spodniach pobrudzonych wapnem, na trzeciej orkiestra grała na błyszczących trąbkach. Zadbano o to, żeby słońce świeciło i na murarzy, i na przedszkole, ale - rzecz jasna - najpiękniej świeciło ono na trąbki.

Wszystko to można było obejrzeć również na fotografiach w prasie codziennej. Tam murarze w czapkach wciśniętych na oczy oglądali zadowolonych murarzy uśmiechających się wesoło znad partii warcabów w sobotę po fajrancie, natchnionych murarzy rozwiązujących piętrowe ułamki na tablicy w wieczorowej szkole, szczęśliwych murarzy objaśniających swoim dziewczynom działanie dźwigów budowlanych. Gazety były bowiem jedną z

pierwszych rzeczy, jakie pojawiły się na świecie, wydaje się, że zanim jeszcze powstały drukarnie.

Gazetowe zdjęcia stykały się z naszym światem powierzchnią papieru, miały zaś własną głębię, w której tekturowe walizki leżące pod piętrowymi łózkami w dwudziestoosobowych pokojach pełne były nie pęt kielbasy, nie barchanowych kalesonów, lecz książek o życiu murarza. Cóż bowiem mogło być w owym świecie ciekawszego dla murarza niż życie murarza, niż praca murarza, niż myśli murarza? To samo dotyczyło tokarzy, odlewników, monterów i wszystkich innych ludzi żyjących szczęśliwie w tamtym świecie pod powierzchnią papieru.

Pierwotny plan miasta zawierał rysunek wielu symetrycznie rozmieszczonych kwadratów, łączących się harmonijnie z wielką centralną rozetą. Należy odnotować, że akustyka była znakomita. Wieniec megafonów rozmieszczonych wokół podstawy centralnej budowli wystarczał do nagłośnienia wszystkich ulic. Pałac wzniesiony pośrodku rozety był pełen marmurów i luster. Z sufitów tak wysokich, że były ledwie widoczne i zawsze jakby zamglone, zwieszały się kryształowe żyrandole, rozłożyste jak fontanny. Było tam dziesięć tysięcy par drzwi, z których przynajmniej połowę z miejsca zamknięto na klucz ponieważ potrzebne były nie do przechodzenia, lecz dla symetrii. Tę zaś, skoro tak dobrze wyrażała ideę mechanicznej równowagi świata, podniesiono do rangi nadrzędnego założenia projektu. A klucze od drzwi od razu się pomieszały i pogubiły. Wchodząc do środka każdy murarz, maszynista czy odlewnik zdejmował z głowy czapkę w jodelkę i gniótł ją w rękach rozglądając się ze zdumieniem po ścianach i sufitach, i cofał się ku wyjściu, zajrzawszy przypadkiem w lustro w złotych ramach.

Lustra były niewiele mniejsze od ścian, na których wisały, jedne naprzeciw drugich, odbijając odbicia i powielając je w nieskończoność. Kilometry posadzek uciekały w głąb lustrzanych przestrzeni, w ten bezkresny świat, oddzielony od naszego powierzchnią szkła. Nieskończenie wiele sprzętaczek musiało pracować bez wytchnienia we wszystkich lustrach, pastując podłogi od rana do wieczora przez cały miesiąc i zawsze, zanim zakończyły pracę, już przychodziło im zaczynać od początku.

Z parteru na najwyższe piętro mknęły windy szybkie jak pocisk, obsługiwane przez windziarki ze srebrnymi guzikami, siedzące na złotych stołkach. Z zawrotnych wysokości tramwaje w dole wyglądały jak pudełka zapalek, ludzie - jak mrówki, a psów i gołębi wcale nie było widać. ów świat, w którym wszystko było tak małe, przez szyby zamkniętych zawsze okien graniczył z najwyższymi piętrami i tylko stamtąd był widoczny. Nielatwo było dostać się na miniaturowy plac, obok którego przejeżdża miniaturowy tramwaj. Trzeba by najpierw

wybić szybę, wychylić się na zewnątrz, usłyszeć świst wiatru i po raz ostatni zadać sobie pytanie, czy właśnie tego się pragnie. Albowiem w tamtym świecie, gdzie wszystko jest tak małe, można tylko umrzeć.

Sięgający chmur gmach w niektóre mroźne dni podobny był do szklanej góry uwieńczonej iglicą o lodowym połysku. W dni mgliste zaskakiwał przechodniów: z nagłą wypływał z bieli i ukazywał się przez chwilę bardzo blisko, ogromny, ogromny, a potem równie szybko znikał. Choć postarano się, żeby nie zasłaniały go inne budowle, z powodu zmienności pogody i oświetlenia nie mógł być zawsze widoczny jak na dłoni. Ale to on był sercem miasta. Wieczorem pustoszał całkowicie i zamykano go na klucz, odłączając w ten sposób serce od reszty organizmu. Być może, w nocy serce nie było miastu niezbędne. Czym bowiem byłoby dla maszynierii miasta serce, jeśli nie główną pompą i centralnym zaworem, miejscem, gdzie regulują się ciśnienia przepływu tego, co potrzebne i co niepotrzebne? Wydawało się, że w nocy, kiedy miasto śpi, nie ma przepływu i ruch ustaje.

W porze gdy zamykano na klucz centralnie położony pałac, z jego wyżyn można by obserwować ławice piętnastowatowych żarówek. W ich cienkim świetle byłoby widać poustawiane starannie, jak w domkach dla lalek, kredensy malowane olejną farbą, szarawą bieliznę suszącą się na sznurach pod sufitem, rdzawe zacieki na ścianach, paczki zawinięte w przetłuszczony papier, słoje z ogórkami ukryte przed wzrokiem lokatorów z przeciwka za firaneczkami umocowanymi na gwoździkach w dolnych partiach okien. Przede wszystkim zaś widać byłoby, przez kłęby pary buchającej z czajników, nieogolonych mężczyzn w podkoszulkach i kobiety w szlafrokach. Cóż to byli za ludzie i skąd się wzięli? Gdyby ktoś obserwował ich uważnie, może by ich rozpoznał. Ale najwyższe piętro, z którego roztaczał się tak rozległy i szczegółowy widok, pozostało bezлюдne.

Budowniczo tam nie mieszkali. Wyżsi ponad pospolitość, obywali się bez czajników, bez kredensów, bez firaneczek, nie potrzebowali sznurów do suszenia bielizny ani kiszonych ogórków na zakąskę. Zapewne nie mieszkali nigdzie. Lub raczej mieszkali wszędzie, lecz tylko tak, jak muzyka mieszka w sali koncertowej, wypełniając swoim istnieniem całą przestrzeń. To oni świecili wewnątrz elektrycznych żarówek, oni łopotali w chorągwiach, oni też tykali w zegarach. Oni to, wisząc na ścianach i przenikliwie spoglądając przez szkło oprawione w ramki, każdego dnia siłą swojego wzroku odpychali od miasta przeciwniastem. Pod ich spojrzeniem sprzątaczkę sprzątały, urzędnicy segregowali dokumenty, mechanicy czyścili i smarowali maszyny. Po to właśnie każdego dnia wstawali z łóżek i ubierali się w przypisane sobie stroje mechanicy, urzędnicy, sprzątaczkę i wszyscy inni. Po to szwaczki dla nich szyły, po to piekarze piekli dla nich bułki, po to motorniczowie prowadzili

tramwaje, po to murarze stawiali dla nich domy. Zaś dzieci wszystkich tych ludzi po to uczyły się w przedszkolu sznurować i rozsznurowywać buciki, po to jadły, wymachując łyżkami, owsiankę na mleku, by niezwłocznie dorosnąć i zasilić szeregi dbających o porządek.

Sprzątanie i naprawy, naprawy i sprzątanie, żmudne starania o zatrzymanie chaosu na zewnątrz, codzienne odpychanie przeciwmiasta - wszystko to całkowicie wypełniało życie mieszkańców, nawet jeśli oni sami wyobrażali sobie że robią coś innego: że zarabiają pieniądze na życie albo że starają się sprostać jego trudom. I jeśli nawet miasto było zaopatrzone w jakieś specjalne instalacje do usuwania tego co niepotrzebne, oni się tym nie interesowali, ufni, że właściwa instancja zadba o nich należycie.

Dla tej to pracowitej rasy o prostych pogodnych umysłach przeznaczone były piękne ulice, place i ogrody, dla niej były okładziny z marmuru i piaskowca a nawet lustra w złotych ramach. Dla niej to czasy owe otwarto szeroko ku rozległym przestrzeniom przyszłości, ku jej bezkresnym płaskowyzom, gdzie wyrastały coraz to wyższe i wyższe kominy a dalej wyższe od najwyższych i od nich także wyższe; wydawało się, że w przyszłości wysokość kominów nie będzie miała granic. To właśnie z pięknem kominów związany był zniewalający czar przyszłości, tej dalekiej krainy rozpościerającej się zawsze nieco w górze i z lewej strony, tam, dokąd wznosiły się z nadzieją oczy murarza i hutnika na plakatach naklejonych na ogrodzenia placów budowy.

Początkowo zasoby wiary i sił wydawały się równie niewyczerpane jak złoża węgla. Zasoby te - tak jak węgiel - leżały gdzieś w dole, pod nogami hutnika i murarza, które to nogi, rozstawione szeroko, wyrażały pewność. Tak to wiara i siły, przez sam kontakt nóg z gruntem, wypełniały serca prostych i dzielnych ludzi wpatrzonych w owo miejsce tam w górze po lewej stronie.

Budowniczo nie żalowali rąk, mając ich do dyspozycji tysiące. Być może ulegli pokusie, by oprócz porządku stworzyć piękno, oprócz posłuszeństwa narzucić zachwyty. Mimo nawału prac potrzebnych do rozruchu świata i do utrzymania go w porządku, podjęto żmudne prace zdobnicze. Zrobiono wymyślne kraty i rynny, choć piękno nie służyło praktycznym celom. Dzięki nadwyżce wiary i sił attyki zwieńczyły frontony, płaskorzeźby ozdobiły fasady, posągi stanęły w niszach murów. Postaci z kamienia ubrane były w kamienne fartuchy, kamienne koszule z podwiniętymi rękawami i kamienne spodnie. Postawa niewzruszona, wypukłe oczy bez źrenic, kielnia w rękach albo kilof na ramieniu. Była to rasa o twardych dłoniach, nosząca ubrania uszyte przez kamienne szwaczki, jedząca bułki z kamienia: najzdolniejsi z majstrów tworzących u początku świata z cegieł, blachy i tynków wszystkie cuda tego miasta.

We wnętrzu kamiennych kieszeni leżą kamienne dokumenty z fotografią i stemplem biura meldunkowego, kamienne zaświadczenia i kamienne listy pochwalne. Ale zobaczyć ich nie można, dla nas bowiem kamienie mają tylko powierzchnię. Lite wnętrze kamienia należy już do innego świata. Do świata, w którym panuje jedność substancji. ścięgna i mięśnie są równie twarde jak koszula i fartuch. Nie ma żadnej granicy między sercem a dokumentem spoczywającym w górnej kieszonce, żadnej granicy między głową a czapką, między ręką a narzędziem.

Niewyobrażalna jednolitość kamieni była przedmiotem podziwu, niedościgłym wzorem i przykładem. Na każdego z kamiennych murarzy przypadały dziesiątki innych, przodujących na placach budowy, którym jednakże od cegieł robiły się na rękach odciski i których dokumenty, w czasie gdy bili rekordy na rusztowaniach, leżały pod kluczem w biurku kierownika hotelu robotniczego, jako zastaw za koce pobrane z magazynu: inaczej mogliby zabrać je ze sobą, porzuciwszy pracę bez przyczyny. Los postawił przed tymi ludźmi zadania wielkie i ważne lub małe i poślednie. Na każdego z wywyższonych przypadało stu innych, naśladowujących każdy ruch jego rąk, a także tysiąc takich, którzy tylko raz w życiu mieli okazję zobaczyć go z daleka, gdy wyciągali szyję, stojąc w tłumie.

Aby pamięć trudu nie przeminęła a jego cel został właściwie pojęty przez łagodne morze głów nakrytych czapkami w jodelkę, zegarkiem nagrodzono rękę, która położyła pierwszą setkę cegieł, i tę, która dokonała pierwszego spustu stali, i tę, która wprawiała w ruch pierwszą obrabiarkę. Sfotografowano odsłonięte w uśmiechu przednie zęby i opięte marynarki ozdobione szarfami ze stosownym napisem. A pod marynarkami były jednogłośnie, spokojnie i równo ciemnoczerwone serca niepodatne na arytmie ani na aneuryzm, ani nawet na znużenie, i niestrudzenie tłoczyły krew do niebieskich żył nabrzmiewających na spracowanych dłoniach. Tak właśnie zaczęła się epoka pamiątkowych zegarków, a także pamiątkowych czajników i żelazek, epoka coraz to nowych napisów na szarfach, coraz to nowych twarzy na fotografiach i pucharów przechodnich, które nieustannie nadawano i odbierano, podczas gdy krój marynarek, rytm serc i rysunek żył na dłoniach nie zmieniały się wcale. Epoka ta w swym szczytowym uniesieniu zapłonęła purpurowym pluszem i złoceniami, rozwibrowała się drzeniem niezliczonych rzędów foteli zwróconych ku scenie spowitej w draperie, dźwigającej wspaniałą stół prezydialny. Rozdźwięczała się nawałnicami przemówień, a zwłaszcza grzmiącymi kaskadami oklasków, burzami braw, wypełniających sale koncertowe zamiast muzyki, której żadna z nich (nie wyłączając operetki) nie potrzebowała już wcale do życia. Odgłosy skrzypienia butów w kuluarach, szepty, kasznięcia a tym bardziej rezonowanie blaszanych łyżeczek w bufecie - wszystko to ginęło w tle bez

śladu.

Maszynaria świata działała wtedy gładko, bez zgrzytów i niespodzianek, podobnie jak maszynaria sceny, pozwalająca wprawnych rękom przesuwac nieba wraz z gwiazdami i ze słońcem, i ziemię płaską jak talerz obracać przy pomocy specjalnej korby. W tych czasach młodości świata, przy właściwych staraniach, to co niemożliwe także okazywało się wykonalne.

Miasto tymczasem rozwijało się z chwili na chwilę. Na planszach projektów kolumnady sięgały czwartego i piątego piętra, na placach były złote wodotryski, w górze rozpościerały się wiszące ogrody i przelatowały śmigłowce komunikacji miejskiej, dla których lądowiska przewidziano na rozległych jak place dachach, pod ziemią zaś sunęły cicho poduszki ledwie dotykające szyn. A tramwaje, tramwaje, tramwaje jeździły od świtu do nocy z jednego końca miasta na drugi i z powrotem.

Niepostrzeżenie sieć przewodów trakcji tramwajowej rozrosła się ponad wszelką miarę. Ustępowały przed nią wiszące ogrody. Ujawniły się wody głębinowe których skomplikowany system wpłynął na zmiany w projektach podziemnych instalacji związanych z ruchem poduszkowców: okazało się nagle, że liniom kreślonym na kartonach może zagrozić woda płynąca gdzieś pod ziemią. Tak oto w mieście rosnącym na planszach zaczęły pojawiać się modyfikacje, których nikt nie mógł wcześniej przewidzieć i które niweczyły impet miasta rozbudowującego się w przestrzeni. Jednakże kominami wyrastały w górę bez przeszkód, istotnie coraz wyższe i wspanialsze. Obserwowano je nieustannie, a także fotografowano i filmowano. Pojawiły się na plakatach oblepiających ogrodzenia coraz to nowych placów budowy, gdzie, czarne i surowe, służyły za tło jaskrawoczerwonym literom, same podobne do wykrzykników. Wraz z kominami rosły pełne powagi hałdy żużlu, silosy z cementem, magazyny. Chwilami jednak wydawało się, że to jest wszystko za mało, że ruch powinien być jeszcze szybszy, wykrzyknik dobitniejszy.

Czas ledwo nadszedł za prędką myślą. Dni były już na wiele lat naprzód policzone i rozdysponowane a jeśli w tych rachunkach kryły się jakieś błędy, to nigdy nie wiązały się z superatą. Można by powiedzieć, że dni zostały zużyte zanim nadeszły, jak spodziewane aktywa, na których poczet zaciągnięto już długi. Czas, podobnie jak elektryczność, był dobrem mającym określoną wartość i przeznaczenie. Zrobiono więc wszystko co w ludzkiej mocy żeby przyspieszyć jego bieg. Prawdopodobnie wykorzystano nawet pewne możliwości usprawnienia zjawisk astronomicznych. Nadeszła epoka, w której to miasto było rozpędzone jak karuzela, ledwie wynurzało się ze świtu, już spadało w ciemność, a z nim jego fabryki i huty, i snopy iskier i dymy zalatujące czadem i siarką, które w czerwonym świetle wschodów

i zachodów słońca stawały się czarne jak smoła. Podczas gdy wytapiano kolejne tony nowej stali, stara zużywała się i niszczała na ziemi, pod ziemią i w powietrzu. świeżo wyprodukowany papier wywożono od razu do drukarni, gdzie drukowano gazety, które jeszcze tego samego dnia trafiały do śmietników.

Tramwaje, ledwo zjechały do zajezdni, już musiały z powrotem wyjeżdżać na swoje trasy, latarnie, ledwo pogasły, już musiały znów się zapalać, bez przerwy napełniano i opróżniano butelki od mleka i talerze z owsianką, podczas gdy wczorajsze dzieci już zakładały i zdejmowały kapelusze, biustonosze, krawaty. Ciągłe golono się, zarost odrastał w mgnieniu oka między jednym i drugim porankiem, pościel na tapczanach pojawiała się i znikła migając tylko bielą, jedna za drugą opróżniały się tysiące i dziesiątki tysięcy cystern benzyny, nafty, gazu. Nie było żadnej nadziei, że rozpędzone koło minionych i przyszłych zadań osiągnie wreszcie cel: dostatek papieru, stali i innych rzeczy których zachłannie żądało miasto. Że wreszcie się ono nasyci i będzie można zwolnić.

W tym szalonym pośpiechu nikt nie rozglądał się dość uważnie, by dostrzegać również tła i drugie plany. Toteż myśl kierowała się pozorami i trudno było rozpoznać rzecz na której spoczęło oko. W ten sposób przemieszały się wszystkie światy. Ten, który graniczył z naszym powierzchnią gazetowych zdjęć a miał własną głębię, i ten, który otwierał się w lustrach, i ten widoczny tylko z najwyższych pięter, w którym ludzie są mali jak zabawki. Tylko rozpościerający się we wnętrzu kamieni świat, do którego nie można zajrzeć, zachował swoje granice.

Rozpęd tego miasta pod pewnymi względami stawał się uciążliwy. Od ciągłego pstrykania przełącznikami zużywały się tablice rozdzielcze, dlatego postanowiono w końcu wcale nie gasić świateł, nie wyłączać maszyn i nie kłaść się do łóżek. Z kolei nieprzerwana praca fabryk i elektrowni pozwalała jeszcze bardziej przyspieszyć bieg czasu, czego nie zanedbano. Teraźniejszość pędziła z prędkością dwudziestu czterech klatek na sekundę, z taką też prędkością obrazy fabryk i elektrowni nawijały się wśród cichego szumu na ogromne szpule, tak długo, aż wreszcie ruch ustawał i na ciemnym tle ukazywał się biały napis KONIEC.

Albowiem wszystko, co ma początek, ma również koniec. Długość taśmy musi być właściwa: taka, by dało się ją nawinąć na szpulę a po projekcji schować do płaskiego blaszanego pudła. Z tego choćby powodu czas ogranicza i filmowanie, i wyświetlanie. Żarówka projektora może świecić przez określoną liczbę godzin, raczej krócej niż dłużej; została w nim zamontowana po przepaleniu się poprzedniej i sama również przepali się w swoim czasie. Gdzież podziewają się fabryki i elektrownie po wyłączeniu projektora? Ulegają

rozproszeniu. Pewien ich aspekt trafia do płaskiego blaszanego pudła, inny pozostaje pod powiekami widzów wstających z krzeseł. Jeszcze inny wyraża się w kablu, łączącym projektor z gniazdkiem elektrycznym i poprzez nie z całą maszyną świata, która istotnie w pewnym okresie pracowała szybko i sprawnie a potem - nie wiadomo kiedy - zaczęła zwalniać obroty. Ponieważ rozpęd także ma początek i koniec.

Prawa, na których w swoim czasie oparto plany rozwoju, głosiły, że co szybko wzrasta, będzie wzrastać jeszcze szybciej. Że eksplozja wyklucza implozję, ruch nie zna bezruchu. Wynikające z tych praw rachunki dawały z początku zadowalające przybliżenia. Jeszcze przez jakiś czas stosowano je kwitując błędy wzruszeniem ramion. Aż stało się jasne, że obowiązujące przybliżenia przestały wystarczać. Nie uwzględniały one bowiem poprawki na niestałość fortuny, która toczy się kołem, na zmienny bieg spraw tego świata, na nagłe i nieprzewidziane kaprysy losu. Nie brały pod uwagę przypadkowej przeszkody, która zatrzymuje w locie niedościgłą myśl, nic nie wiedziały o rezonansie, od którego rozpadną się ryczące coraz głośniej megafony. Im większe przyśpieszenie ma rozpędzona lokomotywa, tym wcześniej musi się zacząć hamowanie, inaczej nastąpi katastrofa. Dźwig unoszący coraz to większe ciężary zawali się pewnego dnia. Zmęczenie materiału, a także arytmia i aneurizm ukażą nagle swoje zaawansowane stadia. Krzywa wzrostu prędzej czy później napotka brzeg planszy i zawisnie w powietrzu. świadomość tego stanu rzeczy narastała stopniowo i nie wstrząsnęła fundamentami miasta. Zdumienie rozłożyło się na długi czas, kiedy to niektórzy zaczęli się czegoś domyślać a inni nie chcieli o tym słyszeć. Powoli upowszechniało się nowe uogólnienie, w myśl którego co duże - stanie się małe, nie zaś jeszcze większe; co pełne, będzie puste, a co wyrasta wysoko, zapadnie się pod ziemię. Nowa reguła w praktyce dawała przybliżenia jeśli nie lepsze, to przynajmniej równie dobre jak dawna, i choć budziła irytację wielu, po cichu wyparła poprzednią. Prawdziwą i nieodpartą jej siłą było to, że niosła uspokojenie. Ktokolwiek ją stosował, uwalniał się od pośpiechu, od znużenia i od wyrzeczeń, a jego usta wukładały się w ironiczny półuśmiech. Bez kiwnięcia palcem osiągał to samo, co kiedyś musiałby okupić trudami i cierpieniem: fiasko.

Czyż uwzględnienie poprawki na zmęczenie materiału powinno być oceniane jako przejaw małoduszności? Czyż ugodowość wobec ich naturalnej tendencji do psucia się i rdzewienia można nazwać cynizmem? Każdy pas transmisyjny był kiedyś nowy i kiedyś będzie stary. Koła zębate wycierają się i coraz większą ilość energii zamieniają na coraz mniejszą liczbę obrotów. Oto tryby świata kręciły się wolniej niż kiedyś, zarówno z powodu zużycia elementów jak i gorszego zasilania. Wolniej obracają się nieba z gwiazdami i ze słońcem, nawet obłoki suną wolniej, niemrawo ciągnięte na niewidocznych sznurkach przez



zdezelowany motor.

Najwięcej energii zużywały instalacje do odsiewania chaosu od porządku, te, które oddzielały od miasta przeciwmiasto. To one były więc najbardziej narażone na zakłócenia, gdy zasilanie zaczęło szwankować. A przecież nie było ważniejszych urządzeń, to od nich zależało wszystko, jak od sprawności pomp zależy przetrwanie parowca z dziurawym dnem, unieruchomionego pośrodku oceanu. Być może bez nich miasto w mgnieniu oka przestałoby istnieć, zalane przez burzliwe fale przeciwmiasta. Powszechnie podzielany był pogląd o konieczności zapewnienia miastu nieprzerwanej pracy tych urządzeń, choćby działało się to kosztem dźwigów, tokarek, oświetlenia.

Najbardziej odporne na rozprężenie okazały się zegary i zegarki, nie wymagające stałego zasilania. Wystarczało, by ktoś pamiętał o nakręcaniu ich raz dziennie. Lecz prędkość wskazówek nie pasowała już do terażniejszości. Na każdy obrót sekundnika wokół tarczy przypadało już mniej niż dawniej obrotów kółek czy wałków w innych urządzeniach. Różnica nie była duża, ale wyraźna i odczuwalna. Na przykład tokarki, które były dumą czasów rozruchu i rozwoju, przy pewnym spadku obrotów zaczynały wypuszczać dużo wybrakowanych części, co utrudniało montaż i hamowało produkcję. Operatorzy maszyn byli z tego zadowoleni. Okazało się, że mieszkańcy tego miasta wolą odpoczywać niż pracować. Na każdą minutę przypadało już mniej niż poprzednio ruchów ludzkich rąk.

Dniówki nie mogły pomieścić w sobie wszystkich prac związanych z utrzymywaniem świata w porządku: odkurzania, froterowania podłóg, reperowania klamek, mycia okien. Mieszkańcy miasta jadaliby obiady po zapadnięciu zmroku. Wiosenne porządki rozpoczynali kiedy lato miało się już ku końcowi i zaczynały żółknąć liście. Zawsze widzieli przed sobą spiętrzone zaległości niemożliwe do odrobienia i wszyscy mieli na sumieniu karygodne zaniedbania. Na twarzach zastygł grymas, palce bębniły po stołach. Siedząc w swoich kuchniach pod sznurami z suszącą się bielizną tu i ówdzie nadprutą, podawali w wątpliwość intencje tych, którzy stworzyli miasto dla ludzi w czapkach w jodełkę i pałac z iglicą sięgającą chmur, w którym mogli nawet zamieszkać, ale nie chcieli. Właściciele parujących czajników popijali przy kuchennych stołach herbatę z wyszczerbionych kubków i wyrzekali na twórców projektu. śmiali się z wiary, że ktokolwiek obywateli się bez kredensów, i wyrażali narzucające się samo przez się przypuszczenie, że twórcy projektów mieszkają we wnętrzach znacznie wspanialszych, ukrytych tak głęboko, jak wysoko sięga iglica, otoczeni bajecznym zbytkiem.

Miasto stało się przyczyną tłącej się nieustannie irytacji. W kuchniach szydzono z naiwnego trudu froterowania podłóg i z marszów wygrywanych na złotych trąbkach, z

tokarek, z wielkich pieców, a nawet z poczekalni pomalowanych na żółto olejną farbą. W razie potrzeby linoleum mogło zastąpić zużyty parkiet, kawałek dykty szybę a gazeta stłuczony klosz od lampy. Nikt już nie szukał odpowiedniego klosza ani szyby właściwych rozmiarów, odkąd mieszkańcy tego miasta zaczęli się domyślać, że każdą rzecz można zastąpić czymś innym, tak jak każde słowo można zastąpić innym słowem o tym samym, lub - równie dobrze - o przeciwnym znaczeniu. Nie dbali już o rzeczy, a tym mniej o słowa: szukali tylko zapomnienia.

Bronili się jak umieli przed zachłannym miastem, przed tą wielką pijawką, która wysysała z nich ostatnie siły. Palili nie wyjmując papierosa z ust, niedopałki rzucali pod nogi. W gazetach czytali tylko tytuły. Skracali sobie drogę depcząc klomby i nie oszczędzali elektryczności. Przy każdym ruchu wąpili, czy jest naprawdę konieczny, więc nawet sprzed tramwajów uskakiwali za późno. Nadzieja, która podobno jest matką głupców, opuściła to miasto i jego głupcy zostali sami na świecie. Nie było już zwyczaju litowania się nad oszukanymi i nad ofiarami wypadków ulicznych. Mieszkańcy tego miasta okazywali się grubianami lub służalcami. Upijali się, uwodzili i porzucali, sprzeniewierzali pieniądze, pisali donosy i płakali. Nikt już nie wiedział, czy doskonałość tego miasta ma spłynąć na mieszkańców, czy też - na odwrót - musieliby osiągnąć doskonałość, żeby w ogóle móc w nim wytrzymać. W chwilach rozpaczki zapytywali samych siebie, czy lenistwo jest defektem rasy, czy skutkiem urbanistycznego błędu.

Mieszkańcy miasta, choć niewiele rzeczy ich obchodziło, głęboko odczuwali drażliwość tej kwestii. Kiedy siedzieli przy kuchennych stołach nad stygnącą herbatą, wiedzieli dobrze, że nie są tymi, dla których miasto zostało zbudowane. Ciała mieli miękkie, kości kruche, ich umysły zbyt łatwo się męczyły a ich pragnienia uciekały to w tę, to w tamtą stronę bez żadnej przyczyny. Ręka ledwo pasowała do uchwytu narzędzia, a serce było całkowicie oddzielone od reszty świata klatką żeber i powłoką skóry. Gdzie tylko spojrzeli, odkrywali obcość.

Pewne oznaki - takie jak ciepły ton głosu spikerów radiowych, gdy relacjonowali przebieg masowych uroczystości - sugerowały, że to do nich, ludzi tutejszych, należy wydanie z siebie owej doskonałej rasy wolnej od niepewności i od lęku przed pustką, rasy, na którą miasto - być może - czekało. Wiedzieli dobrze, że nie czekało na nich: na zatrudnionych w tutejszych fabrykach i urzędach, zapisanych w spisach meldunkowych i w księgach stanu cywilnego, udręczonych niewygodami i pożądaniem wygód. Chorowali na żołądki i na wątroby, łamali zęby na twardych bułkach, tracili wzrok, popadali w zadyszkę. Lecz mimo wszystko myśl, że kobiety miałyby urodzić dzieci z innej gliny, niepodobne do rodziców,

była im niemiła.

Z innych znów oznak, na przykład z kąśliwych uwag o lenistwie tokarzy czy monterów, zamieszczanych przez fabryczne gazetki ścienne, mieszkańcy tego miasta mogli wnioskować że są gatunkiem przejściowym, mającym ustąpić miejsca lepszemu od siebie, który pojawi się, kiedy miasto osiągnie nareszcie doskonałość. Te przykre domysły rodziły niepokojące wizje wyprowadzki. Nikt nie chciał wynosić się z dobytkiem i dziećmi z tego nielubianego miejsca, jedyne, jakie mieli. Upokorzeni, zacinali się w gniewnym milczeniu. Na pojawienie się niemowląt z kamienia nikt nie czekał, podobnie jak na przybycie nowych plemion i wszyscy godzili się na to, by pozostało tak, jak jest.

Byli i tacy, od których mieszkańcy miasta mogli usłyszeć, że już od dawna jest doskonale, o wiele za dobre dla zamieszkujących je szoferów, monterów, pielęgniarek i konduktorek, sprzątaczek i ich mężów mechaników, i całej tej hołoty.

Niespodziewanie pokazały się na świecie lodówki i pralki, niektóre z nich od początku popsute. A także telewizory, w których wnętrzu oglądano ze zdumieniem przez szklaną szybę czarno-biały, rozedrgany i zamazany świat, jakiego przedtem nikt nigdy nie widział. Coraz więcej nieporządku zakradało się tymczasem do życia. W ciągu lat plan miasta komplikował się coraz bardziej. Zatarł się na nim podstawowy wzór gwiazdy i niewiele zostało z uroczystej symetrii projektu, tak, jakby światu nie dostawało owej mechanicznej równowagi, której ideę miał oddać porządek rozwiązań architektonicznych. Z czasem przybywało na planie miasta coraz więcej różnych figur nieregularnego kształtu, przecinających się i nakładających się na siebie w sposób nieprawidłowy i niepokojący. Niektóre ulice, dawniej proste i szerokie, kluczyły zakręcając to w jedną, to w drugą stronę bez celu i kierunku, zdając się nie pamiętać, jakiej całości są częścią i pod jakim kątem mają się przecinać. W miejscu, gdzie stała karuzela, pojawiał się nagle plac okrągły jak talerz, a wokół niego auta dniem i nocą jeździły w kółko po mokrym asfalcie. Tam, gdzie przelatywały jesienią klucze ptaków, wyrosła estakada, po której sunęły jedno za drugim, ciężkie i niezgrabne, wśród chmur pędzących po niebie. Zatłoczony wiadukt wypuszczał ślimacznice, z której - rozdzierając żelazną balustradę - raz po raz waliły się w dół, w kałuże, w których świeciła tęczowo benzyna.

Późniejsze szkice popadały niekiedy w sprzeczność z wcześniejszymi. Przed kolejnymi projektami piętrzyło się coraz więcej szczególnych wymogów i ograniczeń. Najnowsze rozrysowywano w wielu rozmaitych i wykluczających się wersjach, z których każda miała jakiś defekt. Ośmiopiętrowy blok rozbijał perspektywę ulicy i zasłaniał widok na pałac, ale niski pawilon handlowy w tym samym miejscu obrastał natychmiast krzywymi straganami, wnosząc ducha niesubordynacji, bałaganu, warcholstwa. Podziemny garaż,

wypluwający kilkadziesiąt aut na minutę, wykluczał sąsiedztwo szkoły, której jednak nie można było zamknąć, by nie pozostawić bez dozoru okolicznych dzieci, nawykłych do podpalania śmietników i rzucania kamieniami w okna. Każdy z projektów był niedoskonały, lecz każdy miał pewne zalety, dlatego też kulawa całość rozpościerająca się na planszach - żeby się nie przewrócić - potrzebowała wszystkich naraz. Przestrzeń zyskiwała w ten sposób głębię o właściwościach niemożliwych do ogarnięcia umysłem. I trzech wymiarów bywa za dużo, cóż dopiero piętnastu. Dość powiedzieć, że park, wiadukt i dom towarowy mogły zająć to samo miejsce w przestrzeni nie przeszkadzając sobie w najmniejszym stopniu, a ich alejki, ruchome schody i pasy jezdni krzyżowały się ze sobą nigdy nie wchodząc w kolizję.

Wszystko, co się działo na stołach kreślarskich, było w skomplikowany sposób sprzężone ze zmianami, jakie zachodziły w mieście z cegieł, gdzie tymczasem powstawały kolejne mosty, kolejne pomniki, kolejne zegary z kurantami. Ale mnogość przenikających się przestrzeni i natłok wariantów sprawiały, że żadne z tych dzieł nie miało już rozmachu dawnych przedsięwzięć z okresu młodości świata. Wnętrza stały się ciasnawe, nie szafowano już granitem i piaskowcem, nie ozdabiano fasad płaskorzeźbami które wyszły z mody nie wiedzieć kiedy. Trzeba tu także zaznaczyć, że nowe kuranty grały nieco fałszywie a ich dźwięk ledwo wybijał się ponad zgiełk ulicy.

Coraz wyraźniej widoczne były miasta dodatkowe, niezaplanowane, które powstały nie wiadomo kiedy i nie wiadomo jak i które pokątnym swoim trwaniem wprowadziły zamęt do wyobrażeń. Policjant kierujący ruchem ulicznym żyje w mieście zbudowanym z tablic rejestracyjnych, do których dołączono karoserie, podwozia, silniki, kierunkowskazy. Dla telefonistki oplątana kablami metropolia aparatów telefonicznych wyrasta z centrali miejskiej jak z ukrytego kłacza. Miasto pijaka jest puste, składa się tylko z falujących świetlistych smug i z samych twardych kantów swobodnie unoszących się w przestrzeni. Jeszcze inne jest miasto umarłego, całkowicie pozbawione kaloryferów, wilgotne i ciemne, w którym nie można nawet poprosić o filiżankę gorącej herbaty i w którym żyć po prostu się nie da, zwłaszcza o piątej nad ranem, najzimniejszej ze wszystkich godzin.

Z powodu istnienia wszystkich tych przenikających się przestrzeni, miasto staje się coraz bardziej pomieszane, splątane, rozproszone. Musi być zarazem ciemne i jasne, tłoczne i bezludne, hałaśliwe i bezdźwięczne. A także (trzeba to w końcu wyznać) wieloznaczne i nic nie znaczące. Jego nazwa w zależności od potrzeb chwili może oznaczać tablice rejestracyjne, telefony, falujące świetliste smugi, lub cokolwiek innego, co w oczach patrzącego układa się we wzór zwany miastem i co przesłania mury, tak, jak piękne i nieprawdziwe witraże kalejdoskopu rozpostarte między okiem a źródłem światła zajmują miejsce nieba i ziemi.

W taki to sposób miasto zamgliło się, utraciło wyraźne kontury i stało się częściowo niewidoczne. Lecz nawet nie widząc miasta, jego mieszkańcy wystarczająco wyraźnie odczuwali jego istnienie. Chropowatość jego murów, głębokość jego klatek schodowych w brudnawych kolorach olejnej farby, niepewność jego wind podobnych do szaf zawieszonych na stalowych linach w głębiach przepastnych szybów, podrapane ściany, zaplute podłogi i rozbite butelki w kątach. Lepiej było nie widzieć nigdy nie mytych okien w halach fabrycznych ani maszyn, których niedoskonałość narzucała się nawet wtedy kiedy stały bezczynnie. Miały obudowy pokryte złuszczającą się farbą, grube i ciężkie, naznaczone piętnem prostackiej kanciastości form odlewniczych, w których powstały. Mimo nieskomplikowanej natury odlewu, co drugi okazywał się wybrakowany. Węgla nie żałowano: spalano go tyle, ile było trzeba, by żeliwne skorupy przemienić na powrót w surówkę rozgrzaną do czerwoności. Wiadomo było, że cieńsze odlewy nigdy się nie udadzą. Każda część była naznaczona widocznym powinowactwem z młotkiem i kluczem francuskim, narzędziami o małej precyzji lecz o dużym impecie, jedynymi jakie w tych warunkach nadawały się do przeprowadzania napraw.

Drażliwej sprawy maszyn mieszkańcy miasta woleli nie poruszać otwarcie. Wiedzieli, że zbudowano je w tęsknym uwielbieniu dla doskonałości, z myślą o zadziwieniu świata i że substancja, z której je robiono, zawsze okazywała się cięższa i bardziej nieposłuszna od tej z której powstają myśli. Dociekliwi i bezczelni operatorzy maszyn rozpoznawali przeniesione skądinąd rozwiązania techniczne i porównywali ich jakość z mitycznym oryginałem. W tym mieście naśladownictwo nigdy nie zdołało doścignąć pierwowzorów, których marki wymieniano szeptem, z błyszczącymi oczami, zamykając dyskusję. Im wspanialej brzmiały, tym bardziej pogardzano urządzeniami miejscowego wyrobu, jedynymi jakie można było podłączyć do sieci i puścić w ruch. Póki były nowe - czekano, aż się dotrą. Dotarły się nie wiedzieć kiedy, pośród kolejnych awarii. Zaczynały się w nich przekładnie, łamały się śruby, mutry wpadały między koła zębate, skąd już nigdy nie można ich było wyciągnąć. Maszyneria tego miasta pracowała tak jak mogła, wśród hałaśliwych oznak zużycia części, wśród turkotu, wśród zgrzytów. Każda rzecz miała tu swoje wady, będące częścią jej natury, być może najważniejszą, która potrzebowała tylko czasu, by się ujawnić. Dlatego rury musiały się zatykać, zbiorniki przeciekać, a co bardziej precyzyjne konstrukcje musiały zardzewieć i zaciąć się.

W pewnym okresie dużo ciemnych gwiazd pojawiło się na niebie gwiazd stałych, zawieszonym ponad niebem chmur a poniżej nieba słońc i księżyców. Podobno były to gwiazdy najzwyczajniejsze, które tym tylko różniły się od innych, że z jakiejś przyczyny zgasły.

A skoro już nie świeciły, stały się niewidoczne. Rozbijały je śmigłowce komunikacji miejskiej, błakające się pod sklepieniem niebieskim bez paliwa, którego nie mogły uzupełnić ponieważ nie miały gdzie wylądować: lądowisk na dachach w końcu nie urządzono a teraz rozrastały się na nich splątane dżungle anten.

Połyskliwa i krucha substancja, z której zrobione były gwiazdy, traciła po stłuczeniu przejrzystość i sypała się na miasto czarnym pyłem. Od niego to ciemniały tynki. W końcu doszło do tego, że w pochmurne popołudnia budynki przybierały taki sam odcień szarości, jaki miało niebo nad miastem, i w ten sposób znikały. W miarę jak problem zasilania narastał, gasły kolejne gwiazdy i zbierało się coraz więcej czarnego pyłu, który kładł się jak cień na niebie i na ziemi i przyćmiewał wszystkie źródła światła, nie wyłączając słońca. Oczy przechodniów prześlizgiwały się po zwieńczeniach frontonów, wtopionych w chmury. Nikogo nie cieszyły żadne cuda tego miasta. Kamienni murarze w kamiennych ubraniach, samotni w niszach murów, stali na ciężkich nogach z kamienia, dźwigając niepotrzebne kilofy. Z gołębiami na głowach, nastroszonymi od chłodu, tkwili - niezauważalni - w ciemnościach ulicy. Domy, chmury i ziemia miały sam kolor i nawet ptaki zlewały się z tłem. Łatwiej było zobaczyć je w albumach ze znaczkami pocztowymi, gdzie przynajmniej nie marzły.

Nikt nie wie, skąd w mieście bierze się smutek. Nie ma on fundamentów, nie jest zbudowany z cegieł ani skręcony z gwintowanych rur, nie płynie też kablami elektrycznymi i nie przywożą go towarowe pociągi. Smutek rozpościera się między domami jak delikatna mgielka, którą wiatr rozsnuwa nierównomiernie po placach, ulicach i podwórkach. Są ulice długie i krótkie, są wąskie i są szerokie, szarość jednych ma w sobie ślad ochry, inne są niebieskawe od trotuarów po dachówki. Każda z nich ma właściwy sobie odcień smutku. Te, na których jest gęsto od smutku i te, na których pojawia się on jako ledwie dostrzegalny cień, zbiegają się, przecinają i rozchodzą. Ich długość, szerokość i kąty przecięcia mają wpływ na cyrkulację smutku. Ilość i rodzaj smutku zmienia się w mieście każdego dnia, tak jak zmienia się pogoda. Gdzieniedzie pojawia się mały punkcik radości i strefa radości zaczyna rozbudowywać się klinami w głąb ulic ogarniętych smutkiem, a jej czoło jak front atmosferyczny przesuwa się nad dachami domów. Są ulice, na których chwieją się płyty chodnika i zawsze pachnie słoniną i kapustą, a w sobotę na każdym rogu słychać hałasy i muzykę; w każdy poniedziałek zalega tam posępna cisza, przerywana z rzadka trzaskaniem drzwi i ochrypłymi głosami.

W niewinnych i radosnych czasach młodości świata, kiedy to wydawało się, że wszystko co wielkie będzie jeszcze większe, entuzjazm został wpisany w rozwiązania

urbanistyczne, których założeniem był jego dalszy niepowstrzymany wzrost. Zgodnie z regułą upowszechnioną w późniejszym czasie, która głosiła, że każdy stan prędeej czy później przechodzi w swoje przeciwieństwo, smutek okazał się tylko inną formą entuzjazmu. Był tym, w co zamienia się entuzjazm, kiedy jego eksplozja przekroczy swój szczytowy punkt, po którym nieuchronnie następuje implozja.

Takie były odkrycia mieszkańców tego miasta, gorączkowo - jak ocalenia - poszukujących nowych reguł. Bez reguł bowiem żyje się w niepewności, którą znieść nie sposób. Nie mogli dotknąć ani entuzjazmu, ani smutku, ani tym bardziej przyczyny ich pojawiania się i znikania. Spojrzeniem ogarniali niewiele, zaledwie jakiś narożnik, albo jedną stronę placu, czasem jakiś napis nad sklepem lub firankę w oknie. Myśli i wyobrażenia, w odróżnieniu od murów, widoczne są także bez otwierania oczu. Całe to miasto, stojące na ziemskim padole i nakryte półkulą nieba, zawieszona jest w innej, bardziej przepastnej przestrzeni, gdzie powstają i krążą nazwy wszystkich rzeczy i stanów i skąd nadciągają myśli. Nawet niewidomi, obstukujący białymi laskami krawężniki ze wzrokiem utkwionym we wnętrzu głowy, nigdy nie tracą świadomości tego, że coś zbiera lub że opada coś w tej otchłani.

Pod sklepieniami czaszek rozciągają się nie tknięte ludzką stopą bezkresne obszary rzeczy widocznych jak na dłoni, których dotknąć jednak nie można. To zaś, co namacalne, trwa na terenach deptanych przez stopy, lecz dla myśli zamkniętych. Murarze z kamienia, uwięzieni tam, gdzie chodzą stopy, nie zobaczą nic ponad to, co widzi każda cegła i dachówka, choć patrzą niestrudzenie, bez zmrużenia oka, nocą i dniem. Wszystko wokół nich ma swoje miejsce, lecz nic nie ma nazwy. Miasto deptane stopami i miasto, w którym kłębią się myśli, sąsiadują ze sobą przez soczewkę oka, dokładnie nią od siebie oddzielone. Nawet niewidomi widzą to, co najważniejsze: podobne nocnemu niebu ciemności bez granic, z rozszanymi w nich konstelacjami nazw wszystkich rzeczy, świecącymi i gasnącymi jak gwiazdy.

Ogromna ta przestrzeń jest zakrzywiona tak szczególnie, że wszystko, o czym tylko można pomyśleć, znajdzie się zawsze wewnątrz. W przemierzaniu jej nie wkładamy żadnego wysiłku, nie trzeba nawet otwierać oczu, każdy i tak wie, jak wygląda budka telefoniczna, jak autobus a jak opera. Całe utkane jest z tego, co wie się bez patrzenia. I budka telefoniczna, choćby nawet nigdy nie istniała, znajdzie się na właściwym rogu dokładnie wtedy, kiedy autobus zatrzyma się na przystanku przed operą.

Wystarczy powiedzieć właściwe słowo aby w jednej chwili przywołać wszystkie narożniki tego bezcielesnego miasta, wszystkie szyldy nad sklepami a także wszystkie

przystanki, nie wyłączając tych, które istnieją tylko w czyjejś zawodnej pamięci oraz wszystkie budki telefoniczne o każdej porze dnia i nocy, w deszcz, w mróz i w upał. Wszystkie gmachy i wszystkie ich okna na każdym piętrze, każdy kiosk z gazetami widziany z parteru i z poddasza, z prawa, z lewa, z przodu i z tyłu. Należy tu dodać, że zawsze znajdzie się na którymś piętrze jakieś jedno okno, przez które zamiast kiosku widać na przykład duży budynek z wieżą zegarową, ponieważ i on należy do tego miasta, podobnie jak zatarte wspomnienia, niezrealizowane projekty i sny. Wszystko o czym tylko można pomyśleć, ma swoją nazwę i wraz z tramwajami, agrafkami czy kalafonią należy do miasta.

Przedmioty i budynki krążą bez ładu i składu i mieszają się ze sobą. Pamięć musi porządkować je nieustannie ponieważ trwały porządek nie jest tam możliwy. Miasta nie można ani opisać ani narysować, rzeczywistość kwartałów ulic nie poddaje się rzutowi prostokątnemu. Odcięte od nieba, pozbawione chmur odbitych w szybach okien, przypominać będą raczej to, co pozostaje z ulic po ich wyburzeniu: zarysy fundamentów. Manipulując skalą można stworzyć jezdnie przez które bez trudu przecisnie się marka samochodu, zapewne także kolor karoserii, ale koła już się nie zmieszczą. Każda próba utrwalenia obrazu miasta mnoży podobnie ułomne zakątki, żyjące odtąd własnym życiem. Toteż nie jest możliwe przedstawienie miasta na płaszczyźnie i nie ma znaczenia, czy będzie to płaszczyzna papieru, ekranu czy pamięci.

Mimo to w każdym kiosku można kupić złożony na szesnaście albo na trzydzieści dwa plan miasta oznakowany z wierzchu specjalną konfiguracją liter, podobną do bramy najeżonej czarnymi grotami liter W i A, do wrót, które strzegą mrowiących się wewnątrz nazw ulic. Wypisane najdrobniejszym drukiem, wywołują pod powiekami obrazy niedzielnych poranków, jesiennych chmur pędzących nad dachami, ludzi w paltach, pękniętej płyty chodnika, sklepu muzycznego z wiolonczelami w witrynach, wilczura z gazetą w pysku i stu tysięcy innych rzeczy. Urywa się to nagle przy cienkiej kresce, za którą zaczyna się biały margines.

Na planie znajdują się również dworce kolejowe, dzięki którym można przekroczyć granicę cienkiej kreski i pokonać skraj kartki. Pociągi wydostają się na zewnątrz przejeżdżając ciemnymi tunelami ukrytymi pod papierem. Na bokach wagonów przyczepia się niewidoczne w mrokach tuneli tabliczki z dykty, zdobne w czarne napisy. Te same napisy pojawiają się na tablicach odjazdów. Są wśród nich słowa niezwykle i piękne, od których oczy trochę łzawią. Pisze się je wielkimi literami. Te banalne - małymi, bo inaczej nie mogłyby się pomieścić: jest ich bardzo dużo. Jedne i drugie są jednak tylko dalekimi odbiciami nazw, ku którym pociąg zdąża. To one wyznaczają kierunki ruchu lokomotyw



wśród niewidocznej spod papieru płataniny torów. Prawdziwe nazwy, te, które ściągają ku sobie lokomotywy, nie są zrobione z dykty. Piękne lub też banalne, zawsze leżą poza krawędzią planu miasta. Nie wiadomo, do jakiego stopnia realne jest istnienie miejsc, do których się odnoszą. Nie ma bowiem na świecie niczego, co byłoby tylko zmyśleniem.

Gdzieś poza krawędzią papieru unosi się Żyrardów, będący szwalnią, to znów przędzalnią, to znów garbarnią. Gdzieś tam Ożarów, Otwock i Nowy Dwór Mazowiecki, uczone torów kolejowych, cudem unikają dryfowania w przestrzeni tylko dzięki temu, że jak paciorki nanizane są wraz z innymi paciorkami na sznury nazwane linią otwocką, skierniewicką, nasielską. Pociągi przejeżdżają przez szarawe dzielnice w których od stuku ich kół porcelana drży w kredensach i dudnią blaszane rynny. Wszystkie narożniki są tam obsikane przez kundle, wszystkie kundle mają podkulone ogony. Wózki podskakują na kocich łbach. Cierpliwi mężczyźni stoją w kolejce przed zamkniętym sklepem, którego szyld wypłowiał w słońcu i poszarzał od deszczów. Ulice wypełnione są po brzegi przypadkowymi wydarzeniami, tak, jakby nawet myśl, nadająca miastu właściwy kształt, urywała się na skraju kartki.

Każde z tych miejsc ma swój własny centralny punkt, który porządkuje przestrzeń: to kolektura zawsze tej samej gry liczbowej, w zasadzie nie przewidującej wygranych, oznaczona szyldem, na którym wymalowano niewielkiego chudego słonia nad wątłą roślinką czterolistnej koniczyny. Lecz widać, że słoń zbyt późno znalazł koniczynę, jest już tak osłabiony, że nie może jej zjeść. Żał słonia, bo źle trafił. Podobno gdzieś przy najdalszych odgałęzieniach torów żyją gromady dużych i grubych słoni które żrą czterolistne koniczyny we wszystkie dni tygodnia, od rana do wieczora, aż odbija się im i czkają w cieniu palm. Bywa tam ciepło latem i zimą - a tutaj deszcz i mżawka i zmierzch zapada wczesnym popołudniem. W pogodnym tamtejszym klimacie i życie podobno jest lżejsze, i śmierć łatwiejsza. Trudny do wyjaśnienia wpływ tych odległych okolic zniekształca przestrzeń wokół kolektur i powoduje niewłaściwe rozmieszczanie się myśli, jakby to były żelazne opiłki posłuszne biegunom pola. Od rozmyślań o dalekich krajach choruje się ciężko

(drżenie głowy i wzrok zamużony tępym cierpieniem). Wspaniałe przypyły i odpływy rozszalałego morza o barwie butelkowego szkła przeplatają się z chłodnymi pejzażami z widokiem magazynów z blachy falistej, oprawionymi w ramy okienne: magazyny z blachy falistej wyrastają tu spośród zielska i mucha leży nóżkami do góry na pierwszym planie.

Puste butelki trafiają w przejeżdżające wagony, rozbijają się o nie i pozostają na zawsze przy nasypie, jako świadectwo zagadkowej nienawiści tych okolic do wszystkiego, co

porusza się po torach. Nienawiści tego, co musi na zawsze pozostać tam gdzie jest, do tego, co - nieprzemyślane do podłoża - umyka i znika za horyzontem.

A przecież tory, dokądkolwiek prowadzą, nigdy nie opuszczają rozległych obszarów nazwy, choć mijają niezliczone budynki stacji rozrządowych z nazwami takimi jak Radom, Kielce, Kutno, malowanymi czarną farbą na białym tle. Choć mijają hale dworcowe, z tymi samymi nazwami świecącymi kolorowo nad szarymi peronami. Metalicznie błyszczące linie torów prosto jak strzelił przecinają tła czarnobiałe jak fotografia: nawet mur z czerwonej cegły nie ma w sobie ani śladu czerwieni. Nie przywiązują się do żadnego pejzażu i do żadnej barwy. Równie zimno połyskują wśród bajecznie kolorowych plakatów reklamowych, porzuconych ilustrowanych pism i puszek po gazowanych napojach. Mówi się, że kto nie zna Kutna, nie zna życia. W rzeczywistości nikt nie zna Kutna i nikt go znać nie może. Przestrzenie nazwy wypełnione są niekończącymi się torowiskami, przy których miasta tworzą się na krótko i tylko w razie potrzeby i zaraz potem znikają, jak czerwone światełka semaforów w szarościach zmierzchów.

Ostatni z dworców przechodzi niepostrzeżenie w port morski. Podróżni mogą nie otwierając nawet oczu przesiadać się tam z pociągów na statki, na których przepłyną siedem mórz. Zobaczą ogromne wieloryby i niepokojące góry lodowe oraz usłyszą śpiew syren. Słowo „Gdańsk”, świecące nad peronami, daje się odczytać jako aluzja do postaci wznoszącej trójząb na tle białych chmur przy akompaniamencie sygnału dźwiękowego. Lecz może ono okazać się fragmentem większej całości, odłamany od słów „Wolne Miasto”. I równie dobrze pochodzić może z gazetowych tytułów, krzyczących najgrubszym drukiem, że nikt nie chce za tę nazwę umierać. Dopiero kiedy ujawni się pełna treść, której w napisie nad peronami poskąpiono zastępując ją niejasnym skrótem, można pojąć wagę niedopowiedzenia. Ale wśród wszystkich nazw świecących nad peronami dworców nie ma naprawdę ani jednej, za którą podróżni gotowi byłiby umrzeć. Tym bardziej, że nie jest pewne, czy umrzeć można tak, jak przepływa się siedem mórz - bez otwierania oczu.

Dlatego miejsca, których nazwy padają z dworcowych megafonów, są niezdolne do samodzielnego istnienia, choć w niejednej z nich bez przerwy zapalają się i gasną różnokolorowe światełka, wytryskują gigantyczne fontanny o zapachu perfum i dźwięczą srebrne dzwoneczki. Czyż może naprawdę istnieć Paryż, miejsce o nazwie brzmiącej tak pretensjonalnie, że aż śmiesznie, albo Londyn, w zasadzie pomyślany jako mgła? Manchester i Liverpool to dwa boiska do piłki nożnej, z hałdami węgla zamiast trybun. Bordeaux to góra w kształcie butelki, Rotterdam, Antwerpia i Haga to nazwy kilku zapchlonych żaglowców, kołyszących się przy kejach, z ładowniami pełnymi przypraw korzennych i jedwabiu.

Wenecja jest w rzeczywistości gondolą z masy perłowej, kryjącą w swoim wnętrzu pozytywkę. Chicago to pełne walizek z pieniędzmi miejsce gdzie żyją, strzelają i umierają gangsterzy w pilśniowych kapeluszach. Nowy Jork pomieścił najwyższe na świecie drapacze chmur na szesnastu centymetrach długości i dwunastu szerokości; po drugiej stronie ma miejsce na znaczek pocztowy. Rzym jest punktem, do którego prowadzą wszystkie drogi: zakurzoną i przeżartą przez mole książkowe karczmą w której diabeł mówi dobranoc. Białe zaś jak papier i czarne jak noc słowo Casablanca to nazwa nocnego baru dla niezdecydowanych samobójców. Wszystkie one są częścią tego miasta i prawdę mówiąc, zajmują w nim mniej miejsca niż zakładka w książce. Przechodnie oglądający codziennie ciemnawy czworobok placu Konstytucji rozumieją, że Paryż jest tam, gdzie kupuje się bułki paryskie, i że innego Paryża nie ma.

Podobno w Montevideo jest drugi plac Konstytucji, z palmami i fontanną pośrodku, zalany oślepiającym blaskiem słońca, otoczony kolonialnymi pałacami. Jeżeli coś takiego istnieje, jest tylko uzupełnieniem powszedniego, znanego wszystkim placu dodatkowym, ukrytym jego aspektem, umykającym codziennej uwagi, nie mieszczącym się w codziennej świadomości. Podobno Mediolan też ma Dworzec Centralny, w kształcie ogromnego sarkofagu, z którego ścian kamienne maskarony wytrzeszczają oczy i szczerzą kły. Oznacza to, że z jakiejś przyczyny szklany Dworzec Centralny pośrodku miasta potrzebuje cienia bardziej wyrazistego niż ten, który rzucają jego przezroczyste ściany. Podobno Praga pozłacanych pałaców unosi się gdzieś ponad Pragą obdrapanych kamienic czynszowych i głębokich jak studnie podwórek, oddzieloną od reszty miasta rzeką o smaku rdzy i smaru do maszyn a od nieba gwiazd - pokrywą z chmur i dymów. Budowle, ulice, dzielnice dławią się od niezrealizowanych szans, zatrzymanych przemian, cofniętych obietnic, pozostających w zawieszeniu pragnień dla których miasto na próżno szuka ujścia. W gęsto zabudowanej przestrzeni tłoczą się miejskie pejzaże, ich napór przebiera wszelką miarę. To właśnie z powodu ciśnienia zaprzepaszczonych możliwości miasto zaczyna wytwarzać miraż: złoto Pragi, zagadkowość Mediolanu, kolonialne budowle Montevideo.

Tutejszy Dworzec Centralny, jedyny jaki naprawdę istnieje, to jeden ze środkowych przystanków na trasach tramwajów, spokojnie obwożących swoje numery od pętli do pętli. Zdążając do tramwajów mija się obojętnie perony, ponieważ dworzec jest tylko przejściem podziemnym i węzłem komunikacji miejskiej. Są tacy, którym widok jego oszklonych ścian przypomina, jak to kiedyś w wielkiej, jasnej hali kupowali bilety na pociąg. Lecz wiedzą dobrze, że wtedy śnili. To wspaniałe akwarium nie potrzebuje peronów ani pociągów, równie dobrze może istnieć bez nich. Nie potrzebuje również przystanków tramwajowych i

podziemnych przejść. W zasadzie nie potrzebuje niczego. To ono jest dla miasta ratunkiem.

W tłoku i zgielku pochylają się nad stertami bagażu ludzie przyczajeni jak egzotyczne ryby przy mulistym dnie, wymieniając słowa niesłyszalne wśród zgielku, niemo poruszając ustami. Inni, z głowami opartymi na walizach, patrzą na wiejskie sklepiki, na chude woły w zaprzęgach, na zdezelowaną ciężarówkę tłukącą się po piaszczystej drodze, i co raz to podnoszą powieki dla przeliczenia spiętrzonych wokół toreb. Ich sen jest chwiejny i niepewny jak krok linoskoczka. Na dźwięk megafonu spadają, trzepocząc rękami, ale się nie budzą. Wpatrzeni w zieleń pagórków, w suche trawy stepów słuchają bez emocji i bez zrozumienia komunikatów o wjeżdżających na perony pociągach, którymi oni nie odjadą. Ich obce sny łączą się z tutejszymi jak osnowa z wątkiem. Bez niepełnej i niezdecydowanej obecności tych śniących całość nie byłaby kompletna. Na miejscu Kazachstanu, Transylwanii i w wielu innych punktach tego miasta otworzyłyby się zionące pustką wyrwy. Jest tu także najlepsze w świecie miejsce dla cierpiących na bezsenność, prawdziwe sanatorium. Albowiem na dworcu noc nigdy nie zapada, wieczór przemienia się tam od razu w poranek, nawet nie wiadomo kiedy. Tylko tutaj można szukać nadziei nawet o najpóźniejszej porze, znaleźć ją i roztrwonić według własnego uznania, a potem bezpiecznie ukrywać się aż do czasu, kiedy na zewnątrz noc się skończy. Cierpiących na bezsenność jest w tym mieście wielu. Pora wyjawić, że to dla nich zbudowano dworce. Gdyby nie czuwali noc w noc, miasto rozpadłoby się na kawałki, we wszystkim zależne od snów śniących. Lecz, jak wiadomo, na dworcu noc nie jest naprawdę nocą, a sen nie jest naprawdę snem, i tylko dzięki temu ukrywający się w dworcowych poczekalniach usypiają w końcu wyciągnięci na twardych ławkach, w porze, kiedy pierwsze tramwaje wyjeżdżają już z zajezdni.

Na planie miasta dworce wyglądają jak prostokąci w kolorze maskującym, nie widać pociągów wydostających się - gdzieś pod spodem - na wschód, na zachód, na północ i na południe. Oto bezkresne torowiska, błyszczące żelazne szyny, wyznaczające kierunek w mętnej przestrzeni. Im dalej od centralnej figury planu, tym bardziej podatny na zaburzenia jest porządek świata. Powstają nowe odgałęzienia szlaków kolejowych, biegnące ku miejscom, które nie leżą ani na wschodzie, ani na zachodzie, ani na północy, ani na południu. Ku miejscom całkowicie i na zawsze zamkniętym. Nie można przybyć do nich żadną linią kolejową, mimo że są tam hale kasowe, poczekalnie, perony i wszystko, czego potrzeba na dworcach - nie brak nawet przybywających i odjeżdżających pociągów. Nie można dotrzeć tam autem ani nawet przyjść pieszo, choćby się tego pragnęło ze wszystkich sił. Miejsca odcięte od świata jak po katastrofie, pozbawione nawet połączeń telefonicznych, choć nie brak tam telefonów i każda poczta przyjmuje telegramy. Zatopione, stoi w zielonej wodzie

pamięci miasto sprzed miesiąca, miasto sprzed roku, miasto sprzed czterdziestu lat, każde z ostatnimi numerami gazet w kioskach: zatoki niżowe i fronty atmosferyczne, parady wojskowe, epidemie grypy, repertuar teatrów i wypadki uliczne. Całą tę przestrzeń wypełnia druk. Nad każdym dniem wisi jedyna w swoim rodzaju konfiguracja majuskuł, niepowtarzalne kształty przybiera chmura małych liter, rozwiewana przez wiatry. Czyż nie rzuca się ich tu na wiatr tysiącami, setkami tysięcy, każdego dnia?

Miasto wczorajsze i miasto dzisiejsze mogą się wydać parą bliźniaczych obrazków z łamigłówki, w której wyęzając wzrok odkrywa się brak chorągiewki na dachu, dodatkową doniczkę w oknie albo wróbla na gzymsie. Tam ludzie kładli się spać wieczorem, tutaj obudzą się z rana. Każdej nocy, w rytm obrotów jutrzejszych gazet na bębnach maszyn rotacyjnych, zwijają się i znikają wczorajsze miasta. Rankiem nie ma już po nich śladu. Kiedy nowy dzień minie, nowe miasto będzie zużyte doszczętnie i całkowicie, i nie zostanie z niego nic prócz unoszących się wszędzie rzeczowników, czasowników, przymiotników, twierdzących i przeczących zdań. Wczorajsze krzesło, kapelusz, czajnik, są już poza zasięgiem dzisiejszej ręki, bezcienne i nieużyteczne. A ci, którzy kładli się spać wczoraj wieczorem, istnieją dziś w ten sam bezcenny sposób, co wczorajsze czajniki.

Życie dzisiejszych mieszkańców możliwe jest tylko w tym jednym jedynym miejscu na świecie: w ulotnym dzisiejszym mieście, które od wczorajszego i od jutrzejszego różni się rodzajem substancji. Tylko tam uda się dotknąć tego, co leży na wyciągnięcie ręki.

Choć może się zdarzyć, że ktoś już nie tknie kolejnego numeru gazety. Gazeta jest, brakuje osoby. Ta nieobecność dowodzi, że powierzchowne podobieństwo obrazków z łamigłówki nic nie znaczy. A jeśli jeden zdążył zżółknąć, to i mnogość widocznych różnic może okazać się tak wielka, że rozpoznanie utknie w niepewności. Oto plac, na którym tłum faluje w tańcu w rozświetlony zorzami letni wieczór, albo przemarznięci żołnierze w mrokach zimy udeptują śnieg grzejąc ręce przy koksowniku. Oto wiatr niesie żółte liście przez pusty taras widokowy - skąd więc renesansowy pałac w tym samym miejscu? Możliwości są nieograniczone, nietrudno wyobrazić sobie miasta nie mające ani jednego wspólnego szczegółu. Czekać odpowiednio długo, można nawet natrafić na obrazek miasta z wieżą Eiffla stojącą w otoczeniu rozległych trawników i klombów, z widokiem na łuk triumfalny. Wydawałoby się wątpliwe, czy w nazwie takiego miasta jeszcze się zmieści tyle naraz liter W i A. Ale czyż wieża Eiffla sama nie przypomina litery A? Zawsze też znajdują się miasta pośrednie, gdzie łuk triumfalny wyrasta - jakby nigdy nic - pośrodku placu Konstytucji. Każda zmiana jest tylko kwestią czasu.

A co to takiego, czas? Pytający mają prawo wiedzieć, mają prawo w oczekiwaniu

odpowiedzi bębnić palcami w stół. Ale odpowiedź nie przychodzi. Zmiany są jedynym śladem jaki czas po sobie zostawia. Z czego jest zrobiony, w jaki sposób upływa? Czy podobny jest do sznurka odwijanego ze szpuli, czy raczej do noża, który tnie sznurek na kawałki? Czy jest tym, co obraca tryby zegarów, czy tym, co zegary miały w swoich trybach? Pośród inskrypcji wykutych nad portalami i ogłoszeń rozlepionych na ścianach podziemnych przejść, pośród sloganów reklamowych, cenników, haseł wyborczych, pośród płątaniny zdań nie skażonych najłżejszym cieniem niepewności, zabrakło tego jednego, które rozstrzygałoby powyższą kwestię. Odpowiedź nie została wpisana w plan miasta. Kiedy decydowano o jego kształcie, próbując połączyć zasadę prostokąta z zasadą gwiazdy, zegary dopiero co ruszyły z miejsca, o czasie nikt jeszcze nic nie wiedział. Kiedy zaś upływ czasu odsłonił niewiedzę mieszkańców, miastem rządziła już reguła meandra. Nigdzie nie spotykało się ani prostych linii, ani jasnego związku między przyczyną i skutkiem, i dociekanie prawdy o naturze konstrukcji głównej stało się niemożliwe.

Czymkolwiek jest urządzenie zwane czasem, utrzymuje ono w nieustającym ruchu wiadomą maszynię i przez niezliczone przekładnie przesuwają słońce, gwiazdy i chmury. Może działa jak para wodna, pchająca tłoki, albo jak ciśnienie sprężonego gazu, produktu spalania oleju napędowego, wprawiające w ruch główny pasek klinowy, który - jak to paski klinowe - kręci się w kółko nie mając początku ani końca. Może też być, że czas nie jest niczym więcej niż tylko zmianą: ruchem skrzypiących przekładni, samym obrotem, bez tłoków, pary i koła zamachowego, samym przemieszczeniem, bez nieba i bez chmur, samym pojawianiem się i znikaniem. Tylko przybywaniem słoików w pniu drzewa i wypuszczaniem nowych pędów przez gałęzie.

W gąszczu korony nie widać, gdzie kończy się jedna gałązka a zaczyna druga, tyle ich jest, przeplecionych i pomieszanych - nie wyłączając tych dawno odciętych, po których zostały tylko sęki. Albowiem nic na świecie nie może zostać odcięte całkowicie i ostatecznie. Praca sekatora przynosi należyte pozory porządku, ale nie widać poprawy. Im dalej od pnia, tym gałązki są mniejsze i cieńsze, im są mniejsze i cieńsze, tym jest ich więcej. Najwięcej jest przyszłorocznych, tak małych i cienkich, że wcale ich nie widać. Nieposkromiony zamęt drzewa przeszkadza rozumieć celowość ruchu maszynierii. Lecz zrozumienie ruchu maszynierii obraca drzewo w prostą konstrukcję z drewna i łyka, w banalny schemat przepływu wody w górę i w dół.

Wszyscy wiedzą, że „drzewo” i „maszyna” to tylko słowa, kto je wypowiada, na chwilę zatrzymuje ruch świata w swojej głowie. Wraz z irytacją wobec tej samowoli pojawia się więc tu i ówdzie pokusa, by uporządkować ruch świata w głowach tych, którzy go za

bardzo upraszczają albo nadmiernie komplikują. Lecz po usuniętych wyobrażeniach pozostają blizny i nienawiść. Choćby nawet stłoczyć w więzieniach tych wszystkich, którzy myślą że świat jest podobny do drzewa, albo też ich przeciwników, utrzymujących, że jest podobny do maszyny, a choćby nawet rozstrzelać ich i pogrzebać w zbiorowych mogiłach - uwięzieni, a zwłaszcza martwi, utwierdzą się w swoich przekonaniach, stając się bardziej uparci i mniej skorzy do kompromisu niż kiedykolwiek przedtem. Nic bowiem na świecie - nawet wyobrażenia - nie może zostać zniszczone całkowicie i ostatecznie.

Skoro nic nie może zostać anulowane i usunięte, w przestrzeniach nazwy trwa jeszcze miasto wykopów, zaludnione przez mężczyzn w gumiakach i w czapkach w jodełkę i przez kobiety w chustkach na głowach, miejsce, w którym brała początek ta historia. Nie zaszła tam żadna zmiana, żaden następny dom nie został ukończony, żadnej wypalanej ruiny więcej już nie rozebrano. Rozległy lej, pozostałość po eksplozji, w której huku się zrodziło - nie został zasypany. Trwa jako ślad po rozbłysku, w którym skąpali się kiedyś lokatorzy czynszówek, właściciele serwantek z porcelaną, sekreter i otoman. Skąpali się i spłonęli, podobnie jak ich meble, albo zapadli się pod ziemię, wyprostowani, z rękami uroczyście skrzyżowanymi na mostku. Jest tam więc ciągle ów lej, głęboki jak krater wulkanu, a w nim trwa cuchnące i krwawe bulgotanie: przewalają się brudne bandaże, wózki niemowlęce, pojedyncze buty, zgniecione kapelusze, zardzewiały żelazny złom, rozdeptane okulary. Nad nim zaś, jak wulkaniczny pył, unosi się pierze z rozprutych poduszek.

Ludzie w gumiakach byli do siebie podobni, jakby wyszli spod jednej sztancy. Mieli ręce i nogi, mieli nosy, uszy i oczy. Wydawałoby się, że kiedy stoją w szeregu, muszą widzieć te same rzeczy. Lecz oni ledwie na nie spojrzeli. Patrzyli każdy w swoją stronę, na wspomnienia, które woleli zachować dla siebie, na sceny rozgrywające się zawsze na pierwszym planie, na przypadkowym tle rusztowań. Byli dziećmi postaci siedzących na giętych krzesłach w atelier fotografa lub stojących na tle drzew w kolorze sepia w najróżniejszych strojach i nakryciach głowy: w okrągłych sukiennych maciejówkach z ceratowymi daszkami, w kepi z bączkiem i w kaszkietach bez daszka a nawet w melonikach i kapeluszach panama. Spadkobiercy tych wizerunków oprócz elementów rysopisu odziedziczyli - jak weksel do spłacenia - nietrwałość formy. Z dzieci przemienieni w dorosłych i sami także zdani na łaskę cudzych wspomnień, przechowywali w pamięci nieistniejące adresy i wnętrza, dźwigali budynki, place, ulice, z którymi nie mogli się rozstać. Na podorędziu mieli tylko to, co najpotrzebniejsze: jakiś zegarek, jakąś walizkę, składany nóż, prymus, szalik, podobizny pań w kapeluszach z woalkami.

Jedna z ważniejszych różnic między miastem wykopów i miastem ze wspomnień

polegała na tym, że większości postaci z fotografii już nie było. Ich oczy, szarawe lub brązowawe, patrzące spod woalek nieco naiwnie w jakieś wiosenne popołudnie albo też w letni poranek którego nikt już nie pamięta, nie mogły zobaczyć ani wykopów, ani ludzi w gumiakach, którzy nosili przy sobie ich nadpalone zdjęcia. Nie wiadomo, co stało się z miłością, nadającą ciepły odcień sepiowemu spojrzeniu. Czy rozpadła się w proch wśród płomieni, jak porcelanowa filiżanka, czy uleciała z dymem ku niebu.

Spojrzenia, wnętrza i przedmioty zacierały się we wspomnieniach w miarę jak obserwatorzy przyzwyczajali się do nowych obrazów. Niektóre rzeczy, osmalone lecz całe, brano wprost z rumowisk. Obserwatorzy zmian byli pewni, że wiedzą, skąd pochodzą rzeczy wyjmowane z rumowisk. Ich zdaniem - z miasta serwantek, gdzie kiedyś je widziano. Domyślali się, że wydostały one się jakoś przez wspomniany lej, może wytoczone przezeń wraz z gruzem i popiołem, jak lawa. Lecz jeśli to prawda, to trafiła tą drogą do miasta wykopów zaledwie jedna na tysiąc maszyna do pisania, jedna na pięćdziesiąt tysięcy porcelanowa filiżanka z miasta serwantek. Gdzie pozostałe tysiące maszyn do pisania i porcelanowych filiżanek? Otóż nie było ich już nigdzie: ani na ziemi, ani pod ziemią, ani w powietrzu.

W tym miejscu wypada przypomnieć oczywistą prawdę, że mieszkańcy miasta wykopów także byli nietutejsi. Oni także wyczołgali się przez ów lej, brudni, usmoleni, obdarci. Tam, skąd przybywali, nie było powrotu. Urodzili się w bliższym lub dalszym sąsiedztwie gromady szpiczastych liter W i A, w tych stronach, przez które płynęła ciemna i mętna woda, niosąca odbicie tych liter, rozpoznawalne, lecz niewyraźne, podobne do stromych dachów, do cienkich jak ołówki dzwonnice. W mieście wykopów przeglądały się w rzece jakieś inne litery W i A, trochę podobne do tamtych, ale bardziej do dzwonnice z utraconymi hełmami, do wypalonych konstrukcji dachowych, do samotnych czynszówek, otoczonych stertami gruzu.

Lecz skoro nic na świecie nie może zostać zniszczone całkowicie i ostatecznie, oczywiste jest, że pisane na wodzie litery gdzieś jeszcze trwają i będą trwać zawsze, razem z miastem zasobnym w kruche filiżanki i w łatwopalne meble, z bezpiecznym, całkowicie wolnym od katastrof, niepodatnym na patos miastem groteski. Kto wspomni jego nieszczęścia, musi się uśmiechnąć, jego smutek ma podwójne dno, w którym kryje się wesołość. Dość dużo miejsca zajmuje tam Nowy Jork, z papierami wartościowymi wirującymi w powietrzu jak płatki kwiatów, zaludniony przez finansistów wyskakujących przez okna drapaczy chmur, i Nowy Orlean, gdzie czarni Murzyni w białych frakach grają na złotych saksofonach przez wszystkie godziny dnia i nocy, i Londyn, gdzie tłoczą się



urzędnicy bankowi w melonikach na głowach, wytworni przestępcy, detektywi w kraciastych cyklistówkach, inspektorzy Scotland Yardu, poruszający bezgłośnie ustami w takt ragtimów granych na zdezelowanych pianinach wciśniętych w kąt pod ekranem. Albowiem w mieście tym na każdej ulicy jest kino, w każdym kinie pianino. Dlatego roi się w nim od grubych przemysłowców z monoklem w oku, szukających dla siebie żon i wydających za mąż swoje córki. Orkiestry grają im tanga, uwijają się wokół wyfraczeni kelnerzy, odźwierni kłaniają się nisko. Jest tu wszystko, czego potrzeba do życia: wyścigi konne, pokazy lotnicze, parady wojskowe i ruletka. A w tle paradują eleganci z wąsikami, błąka się pensjonarka w okularach, nie traci rezonu mały gazeciarz z papierosem w zębach.

W kadrze nie mieści się to, czego przemysłowcy w żadnym wypadku nie potrzebują: zapadłe sklepiki bez szyldów i wystaw, gdzie handluje się zapalkami, sznurowadłami i szarym mydłem - rzeczami, których żaden z tych dobrodusznych grubasów przenigdy nie kupi. Anemiczni sklepikarze są skazani na nieuchronną plajtę, nie mają na co liczyć wielodzietni krawcy, mistrzowie nicowania doszczętnie znoszonych ubrań ani szewcy, którzy potrafią z pary butów zdartych na strzępy zrobić jeden nowiutki trzewik. Odrąceni przez elegancką publiczność, przymierają głodem. Ich genialne dzieła znane są jedynie tym, którzy nie mogą za nie zapłacić. Kapryśny wzrok szuka lśniących szyldów i wielkich szklanych tafli witryn, w których pyszną się wszystkie modele, wzory i fasony, jakie są tylko możliwe do pomyślenia w tym mieście nieustającej zabawy. Żadna falbanka nie ma tu wagi spraw ostatecznych i spraw ostatecznych w ogóle nie przewidziano. Nawet ci, którzy skaczą z mostu do rzeki, czynią to z przyczyn banalnych i śmiesznych.

Czyż można zatem powiedzieć o tym mieście lekkim jak piórko, że z jego budowli nie pozostał kamień na kamieniu? Raczej rozsypały się na cztery wiatry. Uleciały najnowsze modele, wzory i fasony, którymi zachłystywał się ten świat. Zostały unicestwione przynajmniej na tyle, że nawet we wspomnieniach okazywały się uderzająco niemodne. Lecz unicestwione - jak wszystko na świecie - jedynie częściowo. Czym bowiem jest moda? Tym co sprawia, że pewnego dnia kapelusz z dużym rondem, ozdobiony sztucznymi owocami, zaczyna wyglądać śmiesznie i głupio, i staje się jasne, że musi go zastąpić maleńki toczek.

Przez moment wszyscy wierzą głęboko, że toczki na zawsze pozostaną takie jakie są: odpowiednie pod każdym względem.

Scena pamięci zaopatrzona jest w zwinięte u sufitu prospekty na których uwieczniono przemijające konfiguracje szyldów, pomników, miejskich ogrodów. W zatopionym teatrze pamięci glony porastają rzędy pustych foteli. W stojącej wodzie wszystko ma swoje miejsce. Miasto z toczkami w witrynach zostaje całkowicie zasłonięte kiedy z sufitu sceny opada

nagle, rozwijając się w locie, płótno kolejnego prospektu, wymalowane w pryzmy cegieł. Toczki budzą politowanie i staje się oczywiste, że muszą zostać zastąpione chustkami wiązanymi pod brodą.

Z tyłu ukryty jest jeszcze inny prospekt, ten, do którego pasują duże kapelusze ozdobione sztucznymi owocami: miasto dwujęzycznych szyldów, błyszczące od błota i kałuż, pachnące stęchlizną, zwierzętami i krwią. To na jego tle unosi się wieczna mgła i sunie pochód z krzyżami i chorągwiami, jeźdźcy w futrzanych czapach wznoszą szable, ręka złodzieja wyciąga portfel z czyjejś kieszeni, słychać zastygły w powietrzu świst kuli i rzenie koni wspiętych na zadnie nogi. Po deszczu mali chłopcy, nieślubni synowie kucharek i strażaków, puszczają łódki z papieru na spienione wody rynsztoków. Są tam dwa dworce po obu stronach rzeki, każdy z nich wypuszcza z siebie osobną sieć kolei żelaznej. Między tymi dwiema sieciami kolejowymi nie do pomyślenia jest linia średnicowa. Jedynym możliwym połączeniem okazuje się konny tramwaj, krążący między dworcami przez całe miasto i przez most na rzece.

Miasto to zbudowane jest z dwojakiego rodzaju wyobrażeń, do których nawiązują dwie sieci kolejowe. Jedna rozwija się w stronę Moskwy i Petersburga, druga w stronę Paryża i Lozanny. Nie mogą wydostać się poza roгатki, co nie przeszkadza im opleść całego świata swoją siecią i rozprzestrzeniać się z każdym rokiem coraz bardziej, obrastać w parowozownie, magazyny kolejowe i prowincjonalne garnizony, w których można zdefraudować kasę pułku a potem strzelić sobie w łeb.

Żyją w tym mieście piaskarze szukający ukojenia w szynku na rogu i kanceliści w znoszonych surdutach, blednący pod spojrzeniami naczelników, pozbawieni przyszłości w urzędach, w których wszystkie lepsze posady na zawsze zajęte są przez jowialnych staruszków i przez cynicznych młodych elegantów; brodaci Żydzi w jarmułkach, kowale i cieśle ze źle prosperujących manufaktur, inżynierowie mitomani, kaszlący poeci bez natchnienia. Mijają ich powozy wzdurliwych generałów w białych mundurach wyszywanych złotymi nićmi, wierzchowce wesołych lejtnantów, oddalonych o setki wiorst od swoich matek i siostr, niepewnych, czy błoto pod kopytami może być prawdziwe w miejscu tak przypadkowym, w którym oczywisty jest jedynie garnizon.

Przestrzeń zamknięta między roгатkami jest raczej ciasna. Droga z jednego krańca na drugi trwa pół godziny a w słotę trzy kwadransy, przemierzanie jej nie pozostawia żadnych złudzeń. Niektórzy z mieszkańców tego miasta, mając dość jego ciasnych granic, postarali się zginąć w płomieniach lub w śniegach. Inni, równie udręczeni, uznali, że żyć w nim to obowiązek i że śmierć jest rodzajem dymisji. Jedni i drudzy - od urodzenia do śmierci -

sięgając po coś ręką trafiali w pustkę, robiąc krok wpadali na ścianę. Ci pierwsi ginęli tak jak chcieli - w śniegach albo w płomieniach. Ci drudzy umierali w niewywietrzonych pokojach, mając u wezglowia stoliki pełne buteleczek z gorzkimi miksturami a za uszami pijawki. Lecz śmierć nie mogła uleczyć ich bólu.

Jedni i drudzy spoczywali na koniec w trumnach, trumny rozpadały się w proch głęboko pod ziemią a ból pozostawał na powierzchni: w dusznych sypialniach, w narożnych szynkach, w kanapach na których siadywali, w szufladach gdzie trzymano ich listy. Przychodził w końcu dzień rąbania kanap na opał, zbłąkany pocisk uwalniał listy z szuflad, papier zamieniał się w popiół, pękały szyby okienne, rozlatywały się futryny i kaflowe piece.

Ale i to nie było lekarstwem na ból. Albowiem ból nie należy do tych, którzy go doświadczają, to raczej oni należą do niego. Bierze we władanie kolejnych rzemieślników, urzędników, poetów, wszystkie wnętrza wypełnia aż po sufity.

Wielu próbowało przed nim uciec, korzystając po cichu z tego, że każdy niewywietrzony pokój mieści w sobie szerokie równiny nad którymi przetaczają się wielkie chmury, i nie mające końca trakty, po których rozpędzone konne karetki rozwożą dokumenty z dwugłowym orłem na pieczęciach. Niektórzy z mieszkańców tego miasta pożąдали przestrzeni tak mocno, że z miejsca je porzucali na zawsze. Wsysała ich pustka bezkresnych pól, które aby istnieć, potrzebowały torów kolei żelaznej, rozrastających się rok za rokiem, stacja za stacją, aż do samego końca, gdzie okazuje się, że nie ma drogi powrotnej. Zaczynali błądzić po Petersburgu, wielkim, w złożonych ramach, który pod połyskliwym werniksem bywa w zimie ciemny nawet przez dwadzieścia godzin na dobę. I po Moskwie, wybrukowanej drewnem, nie wiadomo, czy prawdziwej, czy zbudowanej z lakierowanych klocków. Trafiali nawet do Tuły, wysokiej, z mosiężnym kurkiem do wypuszczania wrzątku, a także do Omska i Tomsku gdzie latem spławia się drewno a zimą zamarza się na kamień. I do Astrachania - tego składu lodu i skór, w którym kawior jada się łyżkami i pije szampana prosto z butelki. Pod niejednym z tych zbłąkanych podróźnych otworzyła się gdzieś na granicy stepu i morza ciemna przepaść o nazwie Odessa, pełna marynarzy, bandytów, oficerów i kobiet fatalnych, bez ratunku zalewana falami epidemii, wypełniona na zawsze echem strzałów. Niejeden zatrzymał się dopiero w Baku, gdzie krew płynie ulicami jak deszczowa woda, w Chabarowsku, gdzie na białym śniegu leżą biali żołnierze bez butów. Albo we Władywostoku, na tej końcowej stacji świata, ku której tory dotąd pędzące na zatracenie prosto jak strzała rysują pierwszy łuk spirali. Kolejny łuk opiera się o Harbin, gdzie Chińczycy w filcowych butach brodzą wśród śnieżnych zasp. Następne są już niewidoczne, trzeba się tylko coraz mocniej trzymać na zakrętach. Uratowani czy też zgubieni, ludzie

wciągnięci przez wiry przenosili się do wnętrza pamięci i zaczęli żyć jako czyjeś wspomnienie, powtarzając bez końca swoje dawne gesty. Młodszy niż byli w młodości, patrzyli z nocnych stolików oczami, które nic jeszcze nie widziały, ani przestrzeni, ani płomieni.

Miasto, jakie znają mieszkańcy, utworzone jest z pewnej liczby elementów, które mają określony kolor i kształt, ale nie mają stałego położenia. Przesuwają się, chowają i znów ukazują, jak szkiełka w kalejdoskopie. Oto dla nianiek z dziećmi otwiera się ogród otoczony kutą żelazną kratą, oto stawia się wielki hotel rozebrawszy przedtem stajnie koszar szwoleżerów. Wyrasta gdzieś cerkiew z kopułą, jak duże ciemne szkiełko, ukryte do tej pory za innymi. Pewnego dnia z szyldów znika cyrylica i ukazuje się na nich gotyk. Ulice nazywają się raz tak, raz inaczej. Zmieniają się figury na cokołach, fontanna ze skweru zostaje rozebrana z powodu budowy przejścia podziemnego i pojawia się po wielu latach w innym miejscu. Szkiełka przesuwają się bezładnie i dopiero układ luster tworzy iluzje regularnych, doskonale symetrycznych całości, w których przypadkowy element zyskuje na chwilę rangę głównego filaru konstrukcji. Miasto jest dziełem oczu. W nich to odbijają się jak w lustrach przypadkowe konfiguracje kolorowych szkiełek, zyskując symetrię i sens. Skaza na szkło, przypadkowy odblask, drobina kurzu, poddana tej samej regule, powielona i włączona do całości, określi kontekst. W taki właśnie sposób pojawia się tu Moskwa i Petersburg a także Paryż i Lozanna: jako złudzenie optyczne wywołane skazami luster.

Zrozumiałe, że najmniejsze nawet przemieszczenie elementów musi prowadzić do znacznych zmian w Paryżu i w Petersburgu. Cień pyłku na lustrze wystarczy by w kabaretach zaczęto tańczyć kankana, może też odmienić krój długich do ziemi szyneli. Cóż dopiero wstrząsy po których szkiełka piętują się i rozsypują. Nagłe pojawienie się niemożliwej do pomyślenia linii średnicowej rozchwieje równowagę całości. I rozciągnęte w dwie strony miasto przechyli się niebezpiecznie w stronę Paryża, gdzie Kolej Transsyberyjska to papier wartościowy, jeden z wielu notowanych na giełdzie, i gdzie tarasy kawiarni codziennie w porze zmięzchu zapelniają się rozbawionymi ludźmi, którzy nic o niej nigdy nie słyszeli.

W niejednym Paryżu żyją sentymentalni mieszkańcy Petersburga przebrani w hotelowe liberie, chowający zręcznie napiwki i ukradkiem ocierający łzę wzruszenia, podczas gdy Petersburg może okazać się prowincjonalną dziurą całkowicie niewidoczną spod innej nazwy, jak spod grubego pakowego papieru, miejscem do którego mieszkańcy Paryża w ogóle nie zagląдают. A przecież najmniejszy nawet strzęp pakowego papieru wśród szkiełek kalejdoskopu wystarcza, by całość przyjęła szarawy koloryt i chmurny nastrój, pakowy papier całkowicie bowiem zmienia właściwości światła.

Można domyślać się miasta doskonałego w swej pełni, miasta, które jest sumą

wszystkich możliwości. Niczego tam nie brakuje i nic nie może zginąć, każda porcelanowa filiżanka skądś pochodzi i dokądś zmierza. Lecz właśnie ono, to miasto absolutne, toczone jest chorobą nieustających katastrof. Każda zmiana wnosi zamęt w życie mieszkańców. Trzeba uważać, by przez nieuwagę nie wjechać na most rozebrany przed laty, żeby nie siadać na tarasach zburzonych kawiarni, znanych niegdyś z najlepszych pączków. Można stracić długie godziny czekając na przystankach na tramwaje dawno nieczynnych linii, jeśli nie zauważy się w porę, że szyny zalano już asfaltem. Trzeba dobrze pamiętać, gdzie postawiono mury, których kiedyś nie było. Idąc przez plac targowy, pełen wozów i koni z workami owsa u pysków, lepiej nie zapominać o naturze bloków mieszkalnych, o nieprzejrzystości i twardej konsystencji ich ścian. To, na co można wpaść i się potłuc, z pewnego punktu widzenia jest bardziej prawdziwe niż ulotne pejzaże oglądane wzrokiem zwróconym do wnętrza pamięci. Mieszkańcom miasta zmian chwila obecna przecieka przez palce, muszą więc żyć przeszłością. Starają się tylko nie rozbijać głowami murów z tęsknoty za tym czego już nie ma. Rozumieją, że to nie mury zasłaniają im widok. Choćby nawet unicestwili je swoim wzrokiem, targ z wozami i z końmi i tak nie wróci na swoje miejsce. Zbyt dużo mieliby do stracenia, zważywszy, że przezroczyste jak powietrze szpalery prostopadłościaków tworzących niewidoczną pierzeję wypełniłaby próżnia, wciągająca ze świstem zmięte gazety, parasole, kapelusze, wspomnienia.

Mniejsze całości łatwiej ogarnąć wzrokiem. Każde z dopełniających się miast unosi się swobodnie w przestrzeni, tak samo nieważkie i bezcielesne jak obraz w kalejdoskopie. Nie są połączone żadnymi rurami ani kablami, którymi substancja lub energia mogłaby krążyć pomiędzy nimi. Ani nie powstają, ani nie znikają, ani nie przemieniają się jedno w drugie. Istnieją każde dla siebie i w sobie zamknięte - i nigdy nic się w nich nie zmienia. Właśnie dlatego, że trwają tak niewzruszenie, musi ich być aż tyle. Ale obserwatorzy, nie mogąc wytrwać bez porządkowania zdarzeń w swojej pamięci, próbują połączyć je w jedną całość by przywrócić światu ciągłość i wynikanie, przyczynę i skutek. To przez nich co nowe, stanie się stare, co czyste, stanie się brudne. Miasto oglądane przez obserwatorów jest miejscem, w którym dzisiejszy kurz opada na kurz wczorajszy, w którym czerstwieje chleb, wysycha woda i rdzewieje żelazo. Pomniki są tam wznoszone i obalane, ulice nazywają się raz tak, raz inaczej. Miasto utkane ze zmian jest niszczącą po trochu każdego dnia sceną dla niekończących się wejść i wyjść, miejscem gubienia i znajdowania, łamania i sklejanania, narodzin i śmierci.

Wspomnienia są jak wióry, które lecą tam gdzie drwa rąbią. Pozostają tam gdzie spadły, kiedy drwami napalono już w piecu. Deptane butami, zalewane przez deszcze, z

wolna zmieniają barwę. Jeśli w tym mieście nie ma nic niezmiennego, jakże wspomnienia miałyby się oprzeć zmianom? W tym opanowanym przez pamięć mieście zmian musiało się pomieścić wszystko, co pamięć zatrzymała, lecz bez gwarancji zachowania tego w pierwotnym stanie. Jak w szafie, w której w sąsiedztwie fabrycznego garnituru z taniej zerówki wisi zetlały, lecz z dobrego sukna, mundur nieistniejącej już formacji, a pomiędzy nimi damska mufka, kryjąca w sobie gniazdo moli.

Dlatego przestrzenie rozpościerające się w głowach są rozleglejsze niż cokolwiek o czym można pomyśleć. Każde z przeszłych i przyszłych miast, poupychanych w zakamarkach świata, ma tam swoją gwiazdę, a można też powiedzieć, że każde z nich jest najważniejsze. Czyż bowiem świat nie składa się wyłącznie z zakamarków? Niektóre gwiazdy, jak wiadomo, pogasły, pewną ich liczbę zniszczyły zbłąkane śmigłowce. Lecz nazwa chroni miasto przed rozsypką, ponieważ to ona ma właściwość zawierania w sobie wszystkiego, co było a nie jest i czego nie pisze się w rejestr. Dręczone tęsknotą i zwątpieniem, niespokojne miasto wspomnień każdej nocy wypuszcza z siebie sny - zaczarowane pędy czepne, w ciszy i w ciemności szukające dla siebie podpórek. Ale nie znajdują w niej nic prócz innych snów, więc zaczepiają się o siebie nawzajem. Rosną we wszystkie strony, tworzą węzły i pętle, oplatają się jedne na drugich, zrastają się i rozwidlają. Są sny ciemne i jasne, są piękne i są okropne. Lecz ich jasność zawsze bierze się z ciemności a piękno z okropności. Kłębowisko snów, nigdy nie tknięte sekatorem, wypełnia cały świat i można nawet powiedzieć, że właśnie ono jest światem i że mieszkańcy tego miasta - wraz z domami, z łózkami, z kołdrami, ze wspomnieniami, z pytaniami bez odpowiedzi - potrzebni są tylko do tego, by sny się śniły.

Tylko do tego, by się śniły? A utrzymanie świata w porządku? A pastowanie podłóg, a reperacje? Czyż nie po to nocą spali, by nabrać sił do trudów dnia? Otóż nie. Nie wystarczało dobrze spać i dużo jeść. Zawsze okazywało się, że chleb ze snu nie syci, woda ze snu nie gasi pragnienia. Sny - te wesołe lub smutne krainy niespełnienia - gotowe były odkryć oczom mieszkańców całą prawdę, która zawsze umykała im na jawie: że zamiar utrzymania świata w porządku także pochodzi ze snu. Z pracowitego snu, w którym każda rzecz na jakiej spocznie oko, trafia na swoje miejsce, podczas gdy pięć innych w tym samym czasie rozprasza się i gubi. Lecz śniący nie mogli tego zobaczyć, ponieważ śnili nieuważnie. W porze zmierzchu miasto snów przenika miasto rozciągające się w przestrzeni i łączy się z nim w mroczną całość uwieńczoną czarnymi sylwetkami biurowców na tle czerwonego nieba, kolosami niedawno wzniesionymi, lecz o konstrukcjach nadżartych już rdzą i ciemnością. Nigdzie nie ma żadnego słupa granicznego, żadnego napisu, żadnej tablicy informacyjnej, która określałaby wzajemne położenie snów i jawy. Niektórzy biorą poranne dzwonięcie budzików

za sygnał informujący o przekroczeniu granicy. Ale budziki, same należące do snu, nie mogą ich naprawdę obudzić.

W głębi swojego snu śniący przepychają się do tramwajów, z tramwajów do biur, z biur do sklepów. śniąc, krążą między półkami i mrużą oczy od nadmiaru barw i kształtów. Pełnia mąci w głowach. W każdym towarze drzemie obietnica, przyszłość odmienia się, kiedy śniący dźwigają sprawunki. Nieskazitelne piękno odmienionego losu trwa jeszcze przez krótką chwilę po rozpakowaniu paczek, potem ulatnia się bez śladu. Ale powszedni brak nadziei, czyhający na szczęśliwych nabywców po kątach mieszkań, w mieście snów nie jest dozwolony. Każdy z mieszkańców może zostać rozliczony z win swojego życia - z niepewności i smutku - przez nieznaną kobietę i mężczyzn, którzy mają zapewniony byt na ogromnych płaszczyznach ulicznych plakatów. Żyją wśród stosownych napisów, spokojni, nieruchomi. Dane są im gwarancje, o jakich nikt inny nawet nie śnić nie umie.

W mieście snów wszystkie kolory karoserii przeglądają się w lśniących posadzkach sklepów z autami. Przechodnie ze wzruszeniem zaglądają przez ogromne witryny: podziwiają szlachetność i moc. Sklepowy personel pilnuje aut. Przechodzień, który zamierza usiąść za kierownicą i wyjechać, powinien mieć przy sobie walizkę z pieniędzmi albo potwierdzony czek bankowy. Toteż wielu mieszkańców miasta snów, nie mogąc liczyć na potwierdzenie czeku, poszukuje dniem i nocą walizek z pieniędzmi.

To oni tłumnie wypełniają budynki, mające specjalne otwory w dachach i wewnętrzne rynny, odprowadzające deszcz pieniędzy prosto do urzędów, które je liczą i rozdzielają według potrzeb między oczekujących na cud spełnienia. Każdy numer, kolor i karta prędej czy później musi wygrać. Fortuna toczy się kołem jedynie po to, by wszystkich szczerze obdzielić. Ten, kto nie przyszedł z pustymi rękami, nie pożałuje, jeśli poczeka na szczęśliwy los odpowiednio długo i we właściwej chwili nie zawaha się postawić wszystkiego na jedną kartę. Tu właśnie - i nigdzie więcej - można osiągnąć przeznaczenia, własną ręką poprawić jego przekrzywiony ster, bez straty czasu i sił na inne, pośrednie i wątpliwej skuteczności działania. Trzeba tylko opłacić grę. Wystarczy jedna jedyna moneta, ta szczęśliwa. Kto już wydał swoją monetę, ten nie wygra. Lepiej więc nie podnosić wzroku, aby nie dać się skusić na gumę do żucia, fistaszki i piwo. Ale grający niczego nie są pewni, nawet tego. Wszyscy już dawno przepuścili swoje szczęśliwe monety na głupstwa. Dlatego deszcz pieniędzy z nieba wpadający przez specjalne otwory w dachu odprowadzany jest w końcu do kanalizacji.

Ale miasto snów nie może zapomnieć o pieniądzach. Wieczorem ich luna bije w niebo nad wielkimi hotelami. Windy lśniące od chromu i niklu wożą zadowolonych cudzoziemców z grubymi portfelami w wewnętrznych kieszonkach marynarek z miękkiej wełny, w

błyszczących butach, w jedwabnej bieliźnie. Mgielka wody kolońskiej miesza się z dymem cygar i zapachem świeżo parzonej kawy. Wysokie aż do nieba stoją jeden przy drugim drapacze chmur o ścianach z ogromnych tafli szkła, za którymi hole jarzą się tysiącami lamp, pełne skórzanych kanap i tropikalnej zieleni. Każdy, kto tylko przekroczył próg, z miejsca staje się cudzoziemcem i może odlecieć na zawsze do Ameryki, ponad chmurami, z zapalonym cygarem w ustach. Jeśli jednak sięgnie do wewnętrznej kieszonki w marynarce, będzie zawiedzony - nic tam nie ma.

Dla najbardziej niecierpliwych są w mieście snów rozliczne punkty werbunkowe Legii Cudzoziemskiej a w każdym z nich dniem i nocą wypuszcza z fajki kółka dymu obcojęzyczny oficer w białym kepi na głowie i w mundurze z czerwonozielonymi wyłogami, w którym walczył na pustyni i błdził w burzach piaskowych. Każdemu, kto tam wejdzie choćby przez pomyłkę, podsuwa do podpisu kontrakt na piętnaście lat służby w tropikach i pokazuje na palcach okrągłe sumy żołdu, które jego rząd wypłaci ochotnikowi. Mami zielenią nadziei i pokrywa zblazowanym uśmiechem zakłopotanie z powodu sąsiadującej na wyłogach z zielenią nadziei - czerwieni krwi. Krwi, którą w tropikach wytoczy z siebie podpisujący kontrakt przechodzień. Cudzoziemski oficer dobrze wie o tym, że w tropikach można żyć bez krwi; zastępuje się ją w razie potrzeby koniakiem, dostarczonym skrzynkami do tamtejszych kantyn. Okrągłe sumy, wypłacone ochotnikowi przez zagraniczny rząd, zostaną obrócone na jego zakup, bowiem bez koniaku żyć w tropikach nie można. I złożony podpis przechodzień na zawsze znika, albowiem z tropików wraca się nigdy.

Rozczarowani, którzy spróbowali już wszystkiego, mają za mało czasu, żeby śnić o Ameryce albo o tropikach, za mało sił, żeby szukać daleko. Wchodzą do pierwszego napotkanego banku, obrzucają kasjera zmęczonym spojrzeniem, z którego w mgnieniu oka wyczyta on żądanie, poparte błyskiem oksydowanej stali. Walizka zostanie napełniona banknotami bez zbędnych słów, nikt nie będzie zaprzętał sobie głowy kwitem wypłaty. Toteż niektóre sny rozbrzmiewają wyciem policyjnych syren i piskiem opon. Wypełnione są szalonymi pościgami i niekończącymi się ucieczkami na złamanie karku, gdy przed oczami osłupiałych śniących trzymających ostatkiem sił kierownicę umykają ze świstem wiatru mosty, drzewa, banknoty. Pęd wygasa w ślepej uliczce, gdzie ucieczki i pogonie okazują się sprawą życia i śmierci. Ręka sięga jeszcze po broń, oko spogląda w celownik i rozlega się strzał: celny lub chybiony. Nikt nie może tego przewidzieć.

Dławiące się napięciem miasto snów nie mogłoby istnieć bez podziemi, których sercem jest perkusja. Jej rytm porywa serca gości, udrećzone smutkiem, tęsknotą i furją. W ogłuszającym huku furia wybucha czerwienią, tęsknota zielenią a smutek błękitem. Każdy,



kto kupił bilet, ma prawo oczekiwać olśnienia. Ale wchodząc pogrąża się w mroku. Pragnących olśnienia było tylu, ilu tylko mogło się zmieścić i każdy przyniósł swoją ciemność. Wylewa się na zewnątrz przez źrenice oczu i zatapia całe to miejsce wraz z butelkami za barem, krzyczącymi makijażami, setkami strojów rozpaczliwie czepiających się spojrzeń. światła, zapalając się i gasnąc, wyrrywają z ciemności pojedyncze grymasy i gesty i przez sekundę ukazują światu ich dziwność. W rzeczywistości nie ma tu nawet perkusji. Musi ją zastąpić płyta wirująca na mechanicznym talerzu gramofonu, o czym wszyscy wiedzą, lecz nikogo to nie obchodzi. Prawdziwym sercem tego miejsca jest sam dźwięk perkusji. Nie uciszy on tętnienia krwi w skroniach i nie ukoji prawdziwej furii, tęsknoty ani smutku, ale wygładza grymasy i łagodzi gesty. Tylko tam ciężar znika, tańczący zyskują lekkość, o jakiej poza tym miejscem nie mogliby śnić. Miłość żyjąca w dźwięku perkusji jest pozbawiona ciężaru do tego stopnia, że może być tylko cieniem miłości, czymś co w sercu wcale nie zajmuje miejsca. Czymś równie nietrwałym jak dźwięk i tak jak dźwięk nie dającym się wynieść na zewnątrz ani zachować na później. Dlatego pary, wychodzące do którejkolwiek z sąsiednich sal - barowej, porodowej czy sądowej - muszą sobie radzić bez miłości.

Lecz bez miłości śniący nie mają dość sił, by dalej śnić. Tym bardziej nie mają sił, by się obudzić. Radzą sobie jak mogą. Kupują krawaty na gumkach, łatwiejsze do zdejmowania, kiedy kołnierzyk wrzyna się w krtań i głowa pęka z bólu. Kupują tabletki od bólu głowy, które przynoszą im ulgę, lecz szkodzą na żołądek. Kupują więc lekarstwa od bólu żołądka, które powodują bóle wątroby. To wszystko na nic. Jak zbędnego balastu, który ciągnie ku ziemi, wyrzekają się serca, żołądka i wątroby, pod ich zastaw biorą kredyt i powłócząc nogami wracają tam, gdzie oglądali auta. Nie wiadomo, w jaki sposób tabuny aut wyjeżdżają ze sklepów. Drzwi wejściowe są dla nich zbyt wąskie, witryny za wysoko. Nie obejdzie się bez zadrapań na lśniącej karoserii. Blask nowości znika od razu. Im dalej zajadą, tym gorzej wyglądają. Widzi się je potem, zabłocone i przerdzewiałe, jak jeżdżą z jednego przedmieścia na drugie i z powrotem, z urwanym sprzęgłem, bez kół i silnika, wpadając jedno na drugie. Mieszkańcy miasta snów przeklinają auta i przeklinają kłamliwą obietnicę z plakatu reklamowego. Na innych plakatach szukają nowych, rzetelniejszych obietnic, i śnią ostatkiem sił, wybierając najgorsze wyjścia, jak tonący, który - wiadoma rzecz - chwyta się brzytwy.

W szpitalach miasta snów są instrumentaria pełne narzędzi, przy pomocy których klatki piersiowe otwiera się i zamyka łatwo jak pudełka. Ale ludzie, żyjący latami bez serca i wątroby, z czasem stają się zgorzkniałymi mizantropami o organizmach mnożących szczególne wymagania, z powodu których operacja nie może się udać. W godzinach odwiedzin po szpitalnych korytarzach krążą osobnicy o rozbieganym spojrzeniu, ukrywający

się przed personelem w białych fartuchach i szeptem proponujący rodzinom pacjentów sprzedaż tego, co potrzebne - z ręki do ręki, bez skalpeli, bez sal operacyjnych. Zamieniają na gotówkę serca w których zostało jeszcze trochę miłości, wątroby nie do końca zniszczone, przekonani, że zrobili najlepszy interes swojego życia. Potem otwierają biura pośrednictwa i hurtownie towarów. Jedni umierają szczęśliwi w kantorku hurtowni, inni przewracają się nagle we własnym biurze, ze słuchawką telefoniczną w ręku. Im także nie mogą pomóc same operacyjne miasta snów. Szczypce chirurgiczne, tak skądinąd przydatne do zamykania naczyń przeciętych skalpelem, nie mają odpowiednich ząbków, by pochwycić i przytrzymać ulatujące życie.

Nie ma na świecie rozwiązań tak złych, że nikt ich nie wybiera. Nawet najgorsze wyjście dla kogoś może okazać się najlepszym. Istnieją cele nadrzędne, jak ten, żeby w żadnym razie nie opuszczać miasta snów. I jego mieszkańcy gotowi są zapłacić za to każdą cenę, gdy między jednym i drugim snem otwiera się pod nimi przepaść, której boją się bardziej niż czegokolwiek na świecie: czarna otchłań snów bez marzeń. Ani na moment nie odrywają wzroku od migocących świateł, które inaczej musiałyby zgasnąć w mgnieniu oka. Barwy, kształty i dźwięki zmieniają się z chwili na chwilę lecz miasto snów nikogo nie zmusza, by między nimi wybierał. Jego mieszkańcy wierzą, że przy szczęśliwym zbiegu okoliczności mogą mieć wszystko naraz: miłość, amerykańskie cygara, złoto banków i zar tropików. Nie chcą zaś ciszy jawy, której nuda zabije wszelką przyjemność płynącą z bycia tym lub tamtym, z przymierzania ubrań, dobierania wyrażeń, z posługiwania się ironią lub patosem. Ale czy śnienie i czuwanie nie są jedynie dwoma różnymi sposobami życia w tym mieście? Dwoma sposobami życia, zmieniającymi się dwa razy na dobę? Tak myślą niektórzy. Wyobrażają sobie, że jawa i sen są jak awers i rewers monety, lub raczej jak dwie półkule księżyca, jasna i ciemna. Zapominają, że księżyc ukazuje im zawsze tę samą półkulę: jasno oświetloną półkulę snów.

Wzniesiono to miasto na pograniczu trzech żywiołów, w miejscu, gdzie miesza się one ze sobą. Zostało zbudowane na glinie pamięci, na piaskach snów i na podziemnej wodzie zapomnienia, zimnej i czarnej, której przepływ nie ustaje ani na chwilę, która dzień za dniem podmywa fundamenty. W jej odmętach nikną monety rozróżnień. Zatopione monety mają podobno władzę nad zapomnieniem, leżąc na dnie chronią pamięć zdarzeń i miejsc. Lecz nie wiadomo, jak mogą chronić, kiedy same giną w grząskim mule, pod którym awers i rewers wyglądają tak samo. Tam bezruch jawy nie przeszkadza migotaniu snów, ani odwrotnie. Wodami zapomnienia nie rządzi żadna rozumna zasada i dlatego godzą one wszystkie sprzeczności.

Rozróżnienia! Życie i śmierć, drzewo i maszyna, początek i koniec! Każda nazwa, tak jak moneta, ma swój awers i rewers. Płacąc monetą nie można wydać jej połowicznie, zatrzymując dla siebie orła lub reszkę. Wszystko co wielkie, jest także małe, i odwrotnie. Dwuznaczność jest skutkiem nazywania rzeczy po imieniu. Każda nazwa staje na ostrzu noża, wprowadza dramatyczne napięcie, zmusza do czynienia rozróżnień. Każdy przymiotnik, jaki się z nią połączy, przywlecze przeciwprzymiotnik który stanie po przeciwnej stronie, każdy domysł ściągnie przeciwdomysł. Dobro stworzy zło, ciepło stworzy zimno, koniec stworzy początek. Kto twierdzi, że świat jest podobny do drzewa, jest wrogiem i bratem tego kto upiera się, że jest on podobny do maszyny. Obaj wiedzą, czym jest drzewo i czym maszyna. Próbując dotknąć istoty rzeczy obracają tymi samymi nazwami, jakby kłócili się o cenny łup podzieleni pragnieniem zgarnięcia całej puli, ale zgodni co do wysokości sumy i nazwy waluty; nie chcą przy tym nic wiedzieć o fałszywych banknotach. Lecz ten, kto opisze miasto stu tysiącami słów, wyhoduje sto tysięcy słów przeciwmiasta i każde z nich wróci do miasta jak zły szeląg.

Nikt nie pyta, skąd bierze się rzeczowniki, ani do kogo należą. Mieszkańcy tego miasta dźwigają je z całą ufnością, tak, jak u jego początków dźwigali cegły, przekonani, że trudzą się dla siebie i swoich dzieci. Że właścicielem ciężaru jest ten, kto niesie. Kiedyś kibicowali rekordom bitym na rusztowaniach i wierzyli, że ręka unosi cegłę, nie zaś odwrotnie. Zawsze łatwo ulegali złudzeniom. We własnym mniemaniu są panami słów. Lecz słowa nie są im posłuszne. Nie trzymają się rzeczy, nagle zmieniają znaczenie lub znikają, zastąpione przez inne słowa. Przemieszczają się to tu, to tam, ciągnąc za sobą myśli, pytania i pragnienia.

Choć ludzie obciążają się tu wszystkim, na czym spocznie oko, nie mają na własność niczego. Przedmioty, które kupili albo dostali w prezencie, zawsze w końcu giną lub ulegają zniszczeniu. Ubrania, choć były nowe, okazują się stare, dzieci zamieniają się w dorosłych. We wspomnieniach pozostają tylko rzeczowniki, czasowniki i przymiotniki, jak kwity depozytowe, podczas gdy po wyszczególnionych w nich rzeczach nie ma już śladu w żadnym magazynie. Mieszkańcy tego miasta trzymają kurczowo swoje kwity i uważają się za posiadaczy nieprzebranych dóbr, spośród których niczego nie zamierzają się wyrzec, nawet zesłorocznego śniegu. Jak podróżni, którzy zostawiwszy bagaże w przechowalni chodzą po mieście przekonani, że ich walizy są do dyspozycji w każdej chwili. Gdzież jest ta ogromna przechowalnia bagażu, w której trzyma się pluszowe misie żołnierzy, szczęśliwe chwile porzuconych kobiet, fortuny bankrutów, pocałunki przejechanych przez tramwaje, odbłaski zachodów słońca na szybach okien, przebrzmiałe melodie i zjedzone torty? Oto ona: jest i

wielka i mała, bez trudu mieści w sobie to wszystko, choć sama równie łatwo pomieścić się może na półce, w twardej oprawie, z alfabetycznym układem haseł. Tort sąsiaduje w niej z torturą, i jak ona ma czarny kolor farby drukarskiej.

Nazywanie rzeczy nikomu nie przyniosło szczęścia. Lecz nazwy mimo to krążą bez ustanku, coraz gęściej i coraz bardziej gorączkowo. Bowiem to, co nie zostało nazwane, odpływa razem z falami na rzece. Wszystko ucieka. Wydarzenia nie czepiają się słów i nie potrzebują ich do tego, by płynąć. Toczą się przez miasto poruszając ławice migocących jaskrawo określeń, opisujących na różne sposoby każdą chwilę. To co ma płynąć - płynie, a określenia pozostają w miejscu, kołysząc się na falach, powiązane linami, okrągłe i różnobarwne jak boje na rzece. Mieszkańcy miasta znakują nimi szlaki wydarzeń aby je lepiej rozumieć, ponieważ wydarzenia są z natury niezrozumiałe, skłonne rozlewać się szeroko i zacierać swoje granice. Miłość potrzebuje białych welonów, czarnych smokingów, limuzyn ze wstążkami, ale czasami musi wystarczyć jej krata w sali widzeń. Sen potrzebuje pokoju i łóżka, ale w ostateczności może zadowolić się ławką w dworcowej poczekalni albo nawet skrawkiem trotuaru, stając się czymś możliwym do pomylenia z omdleniem, z pijaństwem i ze śmiercią. Właśnie dlatego tak nieodzowne są znaki nawigacyjne: boje słów. To one umożliwiają czynienie rozróżnień, rozdzielanie tego, co chce być pomieszane. Jedna przy drugiej, kołyszą się na falach wydarzeń przesłaniając je całkowicie, nic dziwnego, że w końcu ich ruch jest brany za fale, a opisy zasłaniają rzeczy.

Również wydarzenia - tak, nawet one! - nie są konieczne do tego by płynęło to co ma płynąć. Prawdziwie niezbędne są do tego tylko słowa. Oto w jakiś deszczowy dzień nieostrożny przechodzień ginie na ruchliwym skrzyżowaniu a pijany kierowca powoduje śmiertelny wypadek stając się z chwili na chwilę przestępcą. Rodzina pogrążona w smutku żegna na zawsze ojca i dziadka, długololetniego nauczyciela, podczas gdy dzieci niosą do szkoły poplamione atramentem tornistry i cieszą się z tego, że odwołano klasówkę. Policjanci konwojują sprawcę wypadku z aresztu na salę sądową, w tym czasie taksówka wiezie rodzicą kobietę w przeciwnym kierunku, do kliniki położniczej. Upragnione przez kogoś połączenie telefoniczne między sądem i porodówką jest technicznie możliwe, lecz jaskrawe i puste w środku boje słów, wyznaczające role i bieg spraw, czynią taki telefon zbyt dużą stratą czasu, fanaberią a może nawet podejrzanym wybiegiem, sztuczką użytą w złej wierze. Słowa - przestępca i konwojent - unieruchamiają postacie w ich rolach, w zatrzymanym kadrze. Nazwy wyznaczają ramy tego co możliwe. Innego dnia następna osoba ginie na tym samym skrzyżowaniu, w sali sądowej rozpoczyna się kolejny proces

(konwojenci i aresztant mają do przebycia tę samą drogę, choć inne są numery

paragrafów w akcie oskarżenia), rodząca kobieta jedzie taksówką do kliniki położniczej, znów pada - być może - deszcz, takie same dzieci niosą do szkoły tornistry i idąc nasiąkają powoli smutkiem gramatyki i zadań o pociągach. Ofiary wypadków, policjanci, przestępcy, uczniowie, rodzące kobiety i taksówkarze nie mają wyboru, muszą podążać w kierunku, który wyznacza ulica, wchodzić i wychodzić przez drzwi, i to w godzinach ich otwarcia. Nigdy nie przychodzą na świat ani nie umierają bez związku z poprzedzającymi te zdarzenia i z następującymi po nich okolicznościami, całkowicie wprzęgnięci w reguły wyznaczone przez związki słów. Nie wydarzy się nic, czego nie można nazwać, a wszystko, co można nazwać, wydarzy się prędzej czy później.

Wydarzenia nie zatrzymują się ani na chwilę w swoim biegu. Żłobią zakola, odsłaniają wyspy. Płynąca woda rzeźbi brzegi - to jedyne po niej wspomnienie. Tam, gdzie było najwięcej wypadków ulicznych, wybudowano przejście podziemne. Gdzie sprzedawano i kupowano, powstały targowiska, gdzie mieszkali złodzieje, wzniesiono komisariat. Nawet mecze piłki nożnej i burzliwe koncerty pozostawiają po sobie kolorowe ślady na murach. Wszędzie jest pełno znaków wspomagających pamięć. I wymownych wyrw po znakach usuniętych albo zniszczonych.

Nazywanie rzeczy po imieniu pomaga jedynie na krótko. Wszystko, co zostanie nazwane, także popada w zapomnienie, ponieważ każde słowo jutro będzie znów potrzebne dla kolejnej rzeczy. Wydarzenia, dla których wszystkim brakuje słów, popadną w zapomnienie najprędzej. Zatarte określenia są jak zgubione kwity depozytowe - wspomnień, do których się odnoszą, nie można już odzyskać. Zapomnienie zabiera gesty i grymasy, zabiera rozpędzone chmury, krople deszczu na szybach, powiewy wiatru. Mieszkańcy tego miasta usiłują stworzyć nowe słowa, poręczniejsze od starych - na próżno. Nowe słowa w niczym nie są lepsze i tak samo jak stare nie ulegają niczyjej woli. Miasto przemian stworzyła pamięć szukająca wczorajszego dnia. Jest całkowicie zależne od wspomnień - a przecież są one dla zapomnienia tym, czym zamki z piasku są dla płynącej wody. Nękane falami zapomnienia, potrzebuje mieszkańców noszących w sobie myśli, pytania i pragnienia, w które wtapiają się miejskie pejzaże - aby miasto w ten sposób mogło zapamiętać samo siebie.

Oczy przechodniów codziennie oglądają przejścia podziemne, targowiska, komisariaty. Oglądają napisy na murach i na ścianach klatek schodowych. Dłoń oparta na poręczy wyczuwa pod palcami stary podrapany lakier. W ten sposób natrafia się na codzienne myśli. Przeważnie są to małe i twarde myśli poranne, zawierające w sobie pytania najmniejsze jakie mogą być, lub zgoła nie zawierające żadnych pytań. Chowają się w ubraniach, w przedmiotach, w meblach, inaczej niż myśli wieczorne, których ostre igielki

tkwią dla pamięci pod czaszkami. ściany klatek schodowych znaczą smugi i zacieki, każdy od czegoś innego, niektóre już bardzo stare. Pewne myśli, dla których nie było miejsca gdzie indziej, mogą tak bez reszty wtopić się w kształt jakiegoś zacieku, że spotyka się je za każdym razem wchodząc i schodząc po schodach. Dzięki temu trwają, uratowane od zapomnienia, jeszcze przez jakiś czas. Później okazuje się że ten sam zaciek oznacza już coś innego. Język zacieków jest ubogi i niechlujny. Te same kształty muszą wyrażać sprzeczne treści. Ale te treści same w sobie są już tak niechlujne i ubogie, że kształty zacieków wydają się dla nich aż nadto dobre.

Choć nie jest to regułą, znaczniejsze myśli mogą przybrać kształt dużego obiektu, takiego jak na przykład tramwaj stojący na przystanku. Wówczas odjadą wraz z nim, pozostawiając pamięci próżny trud poszukiwań. I tylko ten wysiłek pamięci utrzymuje razem okrągły miliard ciemnoczerwonych cegieł. Miasto przemian, budowane przez pamięć i niszczone przez zapomnienie, jest miastem śmierci.

Przeptyw śmierci omija jedynie kamiennych murarzy i hutników w kamiennych ubraniach, którzy z głębi swoich nisz patrzą kamiennymi oczami bez źrenic na ruch uliczny.

Ten rodzaj życia, który mają oni w sobie, nie ulega bowiem zniszczeniu nawet w powodziach, pożarach i w czasie rozbiórki budynków. Odłupana kamienna głowa może dalej istnieć, nie bardziej nieruchoma, niż kiedy była osadzona na karku. Samotna dłoń pozostanie równie bezczynna jak wówczas, kiedy była jeszcze przytwierdzona do przedramienia. Palec wskazujący pozostanie palcem wskazującym również na dnie rzeki, do połowy zagrzebany w mule i opleciony wodorostami. Nawet tłuczony kamienny grys, którym wysypuje się drogi, ma swoją wagę i objętość i swoje miejsce w przestrzeni.

Życie kamieni jest całkowicie wolne od przymusu. Kiedy tracą oparcie, spadają. Spadłszy - leżą. Nie mają wprawdzie wpływu na formę, jaka zostanie im nadana, ale też przyjmują ją z największą obojętnością. Z taką obojętnością trwają lub rozsypują się. Cokolwiek się dzieje, nigdy nie dodadzą do tego nic od siebie. Nie wkładają nawet najmniejszego wysiłku w żadne przedsięwzięcie. Ani nie cieszą się, ani nie martwią, ani nie można ich o niczym przekonać. Są niewzruszone, bo nie boją się cierpienia. Żarówka też nie płaczą, kiedy gasną, kable nie starają się uniknąć zwarcia a drewno nie ucieka od płomieni.

Mieszkańcy tego miasta pozazdrościliby może kamieniom ich wolności, gdyby mogli ją dostrzec. Lecz i oni, choć o tym nie wiedzą i wiedzieć nie chcą, oprócz ulotnego życia ciała i umysłów, mają w sobie niezniszczalne życie kamieni. To zaś, co sami nazywają swoim życiem, okazuje się gorączką trawiącą myśli, znękanie wiecznym przemieszczaniem się piasku, bezwładem gliny i odbierającym spokój chlupotem wody. Mieszkańcy tego miasta nie

chcą życia kamieni, jedyne jakie naprawdę jest im dane. Odstępuje kamienny spokój murów, a zwłaszcza pewność kamiennej ręki, która nigdy nie zdrzy, twardość rysów nie znających smutku, chłodna obojętność monolitu. Trwający we wnętrzu kamieni i cegieł świat milczenia, bez myśli, bez uczuć i bez pragnień, zdumiewa i przstrasza. I życie bez pragnień wydaje się jeszcze bardziej niemożliwe do wytrzymania, niż życie bez spełnień, doświadczane codzienne przez wielu mieszkańców tego miasta.

Zwróćni ku gmatwaninie napisów pokrywającej mury, omijają pytania tkwiące w murach samych. Pytania, na które dobra jest każda odpowiedź, lecz które mimo to muszą pozostać bez odpowiedzi, ponieważ piętrzą się nieruchomo jedne na drugich, na zawsze związane cementem przekonań. Do pytań wyczytywanych z plakatów, odpowiedzi przyczepione są sznurkiem, jak metka do towaru, dodatkowo zabezpieczona plombą. Najwięcej jest pytań uwięzionych we wnętrzu jakiegoś pragnienia. Jeżdżą w górę i w dół, jak winda szamocąca się w klatce szybu. Albo toczą się między dwoma krawężnikami jak porzucona piłka, odbijając się od jednego i drugiego na przemian, coraz wolniej. Są i takie pytania, które roznosi wiatr. Wszędzie ich pełno, choć nikt ich nie potrzebuje. W tym mieście są wszystkie rodzaje pytań prócz jednego. Nie ma w nim pytań swobodnie przecinających przestrzeń w poszukiwaniu odpowiedzi. Miasto, zbudowane z pytań, które utraciły impet, i z przyciętych pod szablon odpowiedzi, nie ma w sobie niczego co zaskakuje i przykuwa uwagę. Jest oczywiste, że pamięć nie ma się tu o co zaczepić.

Każdą z tras jeżdżą raz te, raz inne numery tramwajów, pośrodku ulicy wyrasta nagle składnica złomu o zabitych deskami oknach, bywa, że nie można trafić drugi raz w to samo miejsce, ponieważ przez noc zmienił się układ ulic. Elegancki pasaż może nagle stać się cuchnącą dziurą bez wyjścia, luksusowy hotel przemieni się w przytułek dla bezdomnych. To miasto jest już tak rozprężone, że jego Paryż - miejsce, o którym wiadomo tylko tyle, że nie zrobią tam z owsa ryżu - obrócił się w śmietnik przeszukiwany przez kloszardów. Stary parasol z pogiętymi drutami sterczy z niego zamiast wieży Eiffla.

Lecz w mieście takim jak to, choćby było nawet ze złota i platyny, całe wysadzone brylantami, każda drogocenna budowla i tak będzie tylko zbiornikiem niepokoju, na filarach źle postawionych pytań oprą się łuki nieprzydatnych odpowiedzi, a każde bez wyjątku drzwi mogą okazać się najgorszym wyjściem. I choćby to miasto było całe z nowiutkich cegieł i ze świeżych tynków, z rur bez śladu rdzy, z szyb bez skazy, z chodników błyszczących jak lustra, to i tak pozostanie tylko klatką i więzieniem.

Rozmnożą się, jak niezliczone odbicia niewidocznego pyłku w kalejdoskopie, lewobrzeżne paryskie bistra, w których wydekoltowane studentki z tomami francuskich

powieści pod ręką pochylają się nad filiżankami z czarną kawą. Rozbłysną czerwone żarówki nad narożnikiem najwyraźniej odkruszonym od dzielnicy Soho w Londynie, i jaskrawo oświetlą angielskojęzyczne napisy. W miejskich szaleciach pojawi się zadymiony pub, w którym piją, śpiewają i grają w strzałki irlandzcy poeci a fanatyczni terroryści w wojskowych kurtkach z demobilu podkładają bomby zegarowe. Miejsce urzędu pocztowego zajmie nowojorski drugstore, dokąd o czwartej nad ranem blady, znękany migreną recenzent teatralny zajrzy po proszki nasenne. W nieczynnym punkcie repasacji pończoch odnajdzie się lodziarnia z Palermo, w której milczący mężczyźni w czarnych okularach godzinami wpatrywać się będą w oszklone drzwi, chowając pod marynarkami pistolety. Na kiosku z gazetami zaświecą kolorowe lampiony z papieru a wewnątrz pojawią się długie rzędy nakrytych obrusami stolików, przy których podaje się potrawy z mięsa węży i małp. Od zawsze zamknięte w tym mieście i zajmujące w nim mniej miejsca niż zakładka w książce, Palermo, Belfast, Hong Kong, również niszczeją i rozpadają się a ich odpryski odnajdujemy w coraz to nowych i najbardziej niespodziewanych miejscach.

Nazwa tego miasta z wolna ulega erozji. Litery skurczyły się, a niektóre się pokruszyły, gubiąc odłamki. Te, które zostały, nie niosą już żadnej treści. Żal, że niknie nazwa. Ale czyż mogłaby być równie piękna, gdyby nie rozpadała się z chwili na chwilę? Nie ma liter - nie ma miasta. Albowiem tylko one były czymś pewnym w chaosie dat, zdarzeń i wyobrażeń. Tylko one ogarniały to, co niemożliwe do ogarnięcia: radosne pierwszomajowe pochody i zapomniane śmigłowce komunikacji miejskiej, które od tak dawna latając bez paliwa, także się skurczyły i - podobno - jako niebieskie ważki unoszą się nisko nad ziemią w ogrodzie botanicznym.

Dziurawe ogrodzenie z paru liter, wśród których sterczą grotty W i A, musi teraz pomieścić klimatyzowane amerykańskie banki, bezwzględnych i okrutnych handlarzy bronią, nielegalnych producentów heroiny, strzelających do policji zza budki z gumą do żucia, zmarzniętych Cyganów przycupniętych na trotuarach, skośnookie kobiety sprzedające francuskie perfumy na ulicy prosto z walizek. Być może butni Kozacy w transporterach opancerzonych obstawią kiedyś centralne rondo albo dzikie hordy Dżyngis Chana rozbiją swoje namioty i rozpalą ogniska wzdłuż głównej ulicy tego miasta, zamykając drogę tramwajom i autobusom pełnym ludzi jadących do pracy. Być może tatarscy wojownicy zaczną zabijać uderzeniami buzdyganu spieszących się przechodniów. Ale i oni nie uratują rozpręgającej się całości.

Nie ma nikogo, kto wiedziałby jak naprawić to, co popsute. Stało się jasne, że froterowanie podłóg, odkurzanie chodników, polewanie asfaltu wodą w upalne dni a nawet



malowanie ścian olejną farbą nie wystarcza, lecz mieszkańcy tego miasta nie umieją zrobić nic więcej. Zniechęceni, zaniedbują swoje zadania, pomocnicze i mało ważne. Istota tego miasta była i pozostaje niepojęta, a jeśli urbaniści mieli o niej jakieś wyobrażenia, to zatrzymali je dla siebie, jakby w nadziei, że ta wiedza nigdy nie będzie potrzebna. Mieszkańcy miasta umieją reperować tylko to, co czego można dotknąć. Nie potrafią osiągnąć tego co niewidoczne i najbardziej popsute, a co pośrednio wpływa na stan całości, ponieważ rządzi przepływem rzeczowników, przymiotników, czasowników, twierdzących i przeczących zdań. Prawdziwe wyznaczniki rozwiązań urbanistycznych to nikomu nieznanne reguły łączenia zdań i tworzenia fabuł, zasady kojarzenia jednych myśli z innymi, przypisywania wagi pytaniom i odpowiedziom.

W istniejącym stanie rzeczy żyły wodne, pokłady gliny i ławice piasku są dla miasta wiecznym zagrożeniem. Jeśli miałby zostać utrzymany w czystości ten zamknięty obszar szczęścia, jakim w zamyśle było miasto, ten bastion porządku zwrócony przeciwko burzliwemu oceanowi chaosu - zdania i fabuły dniem i nocą musiałyby być odprowadzane na zewnątrz podobnie jak miejskie ścieki, tak aby w mieście nie pozostało ani śladu kurzu, żadnych kałuż, żadnych śmieci na pokratkowanym papierze bruku. Trzeba by usunąć nawet słowa. Lecz wówczas to, co pozostałoby w mieście, w jednej chwili rozproszyłoby się po wodach przeciwmiasta jak flotylla statków które potraciły kotwice.

Mieszkańcy czują się oszukani. Poirytowani i rozgoryczeni pytają, dlaczego twórcy projektów nie zadbali o to, by fundamenty zostały skutecznie oddzielone od podłoża, czyli, inaczej mówiąc, dlaczego nie umieszczono ich w powietrzu, daleko od źródeł zgnilizny i rozpadu. Ale twórcy projektów milczą. Czy to możliwe, żeby ich także pochłonęło już zapomnienie? Czy to możliwe, że nigdy naprawdę nie istnieli? Czyja więc wola i czyje poglądy odcisnęły się w zrębach miasta? Nie wiadomo. I pytający muszą sami szukać odpowiedzi.

Jedną z możliwych jest ta, która głosi, że istotnie próbowano umieścić fundamenty w powietrzu, lecz przeszkodził bezwład płynnego betonu. Jego bezgraniczna obojętność i to, że ze swej strony nie uczyni nic dla wsparcia porządku. Uparta bierność materiałów budowlanych odpowiedzialna jest za to że miasto nie mogło spełnić pokładanych w nim nadziei.

Im większa regularność i harmonia pod szczelnym kloszem nieba, przykrywającym domy i ulice, tym większy zamęt po drugiej jego stronie. Wiruje tam bezładnie w błękitnych odmętach wszystko to, co kiedykolwiek zdołano uprzątnąć i usunąć z miasta: nieudane odlewy, nadtluczone płyty piaskowca, kawałki czerwonych cegieł, porwane przez wiatr

parasole, wióry i trociny, stare pudełka po papierosach i ławice niedopałków, strugi oleju maszynowego, zbutwiałe czapki w jodełkę, szmaty, obierki od kartofli, kłębowiska chmur, ekskrementy, a nawet poskręcane przęsła mostów. I chociaż klosz nieba chroni miasto przed deszczem meteorytów lub zalewem śmieci, to i tak dostają się one do podziemnych wód i tą drogą wracają.

Podobnie nieosiągalne jak absolutna szczelność jest całkowite oczyszczenie. W istocie myśli musiałyby być usuwane jeszcze zanim powstaną. Nie ma bowiem w tym mieście myśli innych niż pokrętne ani wydarzeń innych niż przypadkowe. Nigdy nie wiadomo, jaka myśl była źródłem tego, co się wydarza ani w jaki sposób zdołała poruszyć mechaniczne elementy świata, by nadać wydarzeniu bieg. Nie sposób rozpoznać, czy myśli są skutkiem czy przyczyną faktów dokonanych, produktem wiadomej maszyneryi czy tym, co nadaje kierunek ruchowi trybów.

Niestety, nie wiemy również nic o tym, z czego i jak zrobione są same tryby, dobrze ukryte przed naszym wzrokiem. Początkowe zaufanie do ich wysokiej jakości było na placach budowy tak wielkie, że montowano je bez oglądania. Co innego z wapnem, które przygotowywano na miejscu: każdy widział, że jest niedolasowane. Używając go powoływano się na doskonałość konstrukcji głównej, która wszystko wytrzyma. Liczono na to, że jej kotły, jej silniki, jej przekładnie są bez wyjątku najprzedniejszej jakości, po prostu niezniszczalne. W miarę zużycia wychodziło na jaw, że niewidoczne elementy świata także zrobione były niestarannie i z byle jakich materiałów, podlejszych nawet niż te wybrakowane cegły, z których mieszkańcy miasta wznosili swoje niepewne konstrukcje.

Specjalne urządzenia do oddzielania dobra od zła obrosły pracującą wyłącznie na ich potrzeby maszyną odpowietrzającą i oczyszczającą. Mówiono, że same uczyniły więcej chaosu niż zdołały go wypompować poza kopułę nieba oraz że ściągnęły na to miasto nie mające rozwiązania problemy energetyczne. Kiedy twórcy idei odgroźenia miasta od przeciwmiasta sprowadzili wszystkie problemy do sprawy zasilania urządzeń, nie mogli przewidzieć, jak bardzo kosztowne okaże się usuwanie całego bezwładu świata. Czyż bowiem świat nie jest utkany z bezwładu?

Z biegiem lat wiotczały sztucznie napięte arterie miasta. Powstawały przy tym wyrwy i zrosty, a nawet naprężeniowe uszkodzenia najróżniejszych instalacji, nie wyłączając najważniejszych, związanych z usuwaniem przeciwmiasta. Miasto zgromadziło w sobie brud. Sadza przywarła do tynków, wełnista substancja zebrała się w szwach ubrań mieszkańców, parapety i gzymsy pokryły się ptasim guanem. W mrocznych zakamarkach koty rozszarpały myszy. Klatki schodowe zaczęły wydzielać mysi i koci zapach tego co ciemne,

przypadkowe i okrutne. Wszystkie przedmioty poszarzały tak samo jak litery W i A w nazwie miasta. Znikły - nie wiedzieć kiedy - błyski na szybach. Zaćmił się blask kryształowych żyrandoli. Większość z nich zresztą pozdejmowano, kiedy zaczęły być niebezpieczne. Pożłota zlaźła z ram luster, podniszczyły się pluszowe obicia foteli, spłowiała nawet czerwień tramwajów. ściany kanałów obrosły tłustą mazią. Mury osiadły, pozapadały się jezdnie.

Oto na przykład ulica, na której zawsze pada deszcz. Nikt nie wie, jaka nad nią biegnie rura ani dlaczego pękła. Strumienie wody zalewają dachy domów, płyną po szybach i wzbierają w głębi między fasadami.auta suną po jezdni jak po dnie głębokiego kanału, gdzie jest ciemno i zielonkawo i parasole rozkwitają jak algi. Przechodniom jest trudno oddychać, jak to pod wodą. Matki ciągną za sobą małe dzieci po codziennych trasach między sklepem a placem zabaw. Nieskore do roztkliwiania się, gdy obiad niegotowy, nie zwracają już uwagi na udrękę własnych płuc, przyzwyczajone, że wszystko tak w tej wodzie zanurzone - może dalej istnieć. W porze zmierzchu lokatorzy odpływają z prądem w dal sobie tylko znanych akwenów. Ich myśli zaczynają się przechylać to w tę, to w drugą stronę, chybocliwie okręty bez załogi. Nikt tych okrętów nie konserwuje, każdemu z nich czegoś brak, barwne ryby raf koralowych przepływają między wrakami osiadłymi już na dnie. Nieraz konik morski poruszając pyszczkiem wpłynie pod parapet, albo fala zniesie jakąś rybę za szafę.

Jest też ulica na której zalega zimno oddzielone od ciepła, tak jak gdzie indziej zalegają w wąwozach mgły poranne. Zimno oddzielone od ciepła przemienia w lód wszystko dookoła. W lód tak lodowaty, że węgla całego świata nie wystarczy by go stopić. Na wiecznie oszronionych szybach okiennych rozrastają się i zstępują ku oblodzonej jezdni strzeliste bramy, wspaniałe lodowe ostrołuki, niebieskie, liliowe i białe krużganki, wiszące mosty i szklane góry i wypełniają całą przestrzeń ulicy. Delikatna ale mocna konstrukcja oplata dachy i rynny, wgryza się w ściany budynków. Z tego powodu ulica jest zamknięta dla ruchu i specjalne tablice informacyjne wskazują kierowcom trasy objazdu. A mieszkańcy skutych lodem domów nie dających się ogrzać - zaraz po obiedzie zapadają w najgłębszy sen i śni się im, że zamarzli na śmierć.

Gdzie indziej znów gromadzić się musi ciepło oddzielone od zimna. Nadmiar ciepła doprowadza do przegrzania podziemnych instalacji. Jest więc w tym mieście ulica, na której upał od wielu lat nie zelżał ani na chwilę. Trawniki wyjałowiały i przemieniły się w tumany piasku, które rozwiewa gorący wiatr. Ziarenka piasku wpadają ludziom do oczu, wywołując przekrwienie białek, co nadaje twarzom wyraz tłumionej wściekłości. Piasek wciska się wszędzie, niszczy zegary i maszyny do szycia. Nocą słyhać wrzaski a czerwone ogniki papierosów błyskają po bramach. Jest tak gorąco, że nikt nie może zasnąć. Niektórzy bez

zmrużenia oka przeżyli tam całe lata, popadając w coraz to większe rozdrażnienie. Pod każdą latarnią stoi alkoholik i prostytutka, a co dziesięć minut przejeżdża z wyciem syreny karetka pogotowia albo wóz strażacki. W kuchniach przypala się kapusta ze słoniną, dzieci wbiegają pod tramwaje, młode kobiety malują jaskrawą szminką usta czarne od przekleństw, złodzieje uciekający po dachach roztrzaskują sobie czaszki o bruk. Potem w prosektoriach z serc wyłuskuje się piasek.

W innym znów miejscu odłożył się nadmiar gliny. Co roku po zimie domy zapadają się w grząski grunt. Partery znikły najdawniej. Mieszkańcy zrozumieli, że nie tam ma dla nich żadnej nadziei i wyprowadzili się do podmiejskich willi z wieżyczkami obrośniętymi bluszczem. W ten sposób trzęsawisko raz na zawsze przestało im zagrażać. Lecz pochłonęło żywotny fragment miasta, który - jak zbuntowana tkanka - zaczął rozbudowywać się w głąb. Windy towarowe wywożą glinę na powierzchnię, aby zrobić miejsce dla kolejnych kondygnacji. Mieszkania, sklepy, warsztaty, garaże czekają na zasiedlenie przez tych, którzy nie mogą znaleźć sobie miejsca. świecą wypalone żarówki, tokarki bez noży, maszyny szwalnicze bez igieł, suwnice bez wciągników pracują dzień i noc.

Najgroźniejszych awarii nękających to miasto nie daje się usunąć, nie można też zapobiec kolejnym katastrofom. Miasto i tak do wszystkiego przywyknie. Niebo ruchomych chmur opada co roku niżej, lecz póki nie zgniata dachów, nikt o nim nie myśli. Niewykluczone, że nawet najważniejsza część maszynierii, ta, która obraca niebo gwiazd stałych i leżące ponad nim niebo słońc i księżyców, to tandeta jedynie i szmelc. Nie wiadomo dokładnie, z czego została zrobiona i w jaki sposób. Być może leżą jeszcze w archiwach plany, ale nie ma nikogo, kto by wiedział jak je odczytać. Można się tylko z grubsza domyślać, jakie to instalacje puszczono górą nad dachami a jakie przeciągnięto pod ziemią. Do dziś żyją ludzie którzy mieszały zaprawę, nosili cegły, skręcali rury. Ale oni nic nie wiedzą, oprócz tego, że na początku nie oszczędzali się i pracowali ciężko. Ten i ów może nawet pokazać dłoń z palcami obciętymi przez piłę mechaniczną, kikut nogi zmiażdżonej przez blok kamienny, zabliźnioną dziurę w czaszce. Pamiętają tylko samych siebie - piąte przez dziesiąte - jak w spodniach pobrudzonych wapnem uwijali się po słonecznych placach budowy.

Gdyby przyszło im teraz po raz drugi budować to miasto, główne arterie biegingyby może przez izbę przyjąć szpitala, hale dworcowe mieściłyby w sobie ogromne dormitoria, tramwaje wjeżdżałyby po szynach do rzeki. Nie ma tu bowiem nikogo, kto mógłby opanować chaos przeciwmiasta, nikogo kto zna reguły dające naprawdę dobre przybliżenia, nikogo kto wie, czym podeprzeć niebo, nikogo kto powiedziałby murarzom i architektom, co mają robić.

Nie istnieje żadna wiedza lepsza od naszej, żaden lepszy od naszych materiał budowlany i nie ma żadnego wyjścia lepszego od najgorszego. Wiara, że miasto może być inne, nie znalazła potwierdzenia. Wyszły soki, które ożywiały je na początku sezonu wegetacji. Ucichły i przebrzmiały chóralne pieśni, żadna cegła nie jest już podawana z rąk do rąk, soczewki dwuobiektywowych lustrzanek którymi fotografowano kiedyś słoneczne place budowy pokryły się kurzem i zmętniały w mrocznych szufladach, niepotrzebne, ponieważ nie przepuszczają już światła. W tych czasach starości świata każdy jest tu sam i każdy ma swoje własne miasto, które sypie mu się na głowę zwietrzałym tynkiem, martwymi liśćmi, kurzem wytartych słów.

W senne i zimne poranki krew zatrzymuje się w żyłach, oczy prawie nie patrzą i brakuje sił do następnego kroku. Pielęgniarki, szwaczki, monterzy i szoferzy na wpół żywi przysypiają na schodach trzymając się poręczy. Czasem ktoś nagle otwiera oczy i zaczyna się rozglądać dookoła, nie znajdując nigdzie niczego znajomego, zdumiony tym, jak blisko jest od młodości świata do jego starości. I nie może zrozumieć, gdzie podziewają się teraz błędy młodości, gdzie porywy uczuć, gdzie pieśni. Gdzie podziąła się nowa droga życia: czyżby przemieniła się w tę zasnutą pajęczynami, wyczerpującą, stromą i samotną drogę w dół i w górę po schodach? Gdzie szczęście rodziców niemowlęcia, które pierwszy raz usiadło w wózek w jakieś ciepłe popołudnie, gdzie uśmiech niemowlęcia, teraz, po latach, kiedy wiadomo już wszystko o promocjach, awansach, wypadkach, rozwodach, pogrzebach?

Dzieło stworzenia pozostałoby niedokończone, gdyby nie dopełnił go potop. Przeciwniasto już dawno przerwało tamy. Podobne wzburzonemu morzu w jednej chwili zalewającemu pracownice osuszane poldery, zatopiło całe to miasto od fundamentów po dachy. Kiedy zaczęło się przeciekanie? Nikt nie pamięta. Być może już w pierwszej minucie po rozpoczęciu budowy. Rzeka płynąca przez miasto, niosąca rozproszone, migotliwe odbicia strzelistych dzwonnicy i stromych dachów miesza swoje fale z zielonymi od zastoju wodami pamięci. I wszystkie wody, te i tamte, roztopiają się jak kropla w morzu w czarnej wodzie zapomnienia. Dla przeciwniasta woda nigdy nie jest zbyt zielona ani zbyt czarna. Ten bezdenny ocean przyjmuje ją nie stawiając żadnych warunków, zawsze i w każdej ilości, do ostatniej kropli.

Niektórzy o wszystko winią ten piękny pałac stojący po środku miasta. Podobno był za wysoki i jego iglica zrobiła pierwszą rysę na niebie. Lecz w kuchniach, widocznych z jego najwyższych pięter, nikt już nie wyrzeka. Opustoszały, jakby wyludniła je zaraza. Czasami nocą ktoś przemknie, na chwilę zapali światło. Ci zaś, którzy wierzyli kiedyś że co czyste będzie coraz czystsze i którzy odkryli później że czystość przemienia się w brud, buntują się

teraz przeciwko wymogowi absolutnej szczelności. Szepczą, że nic nie jest brudne tylko wówczas gdy nic nie jest czyste. Chcą pozwolić, by wszystko co przez lata usuwano największym wysiłkiem poza kopułę nieba, na powrót wymieszało się z substancją miasta. Twierdzą, że wystarczy porzucić pragnienie doskonałości, a nieszczelność raz na zawsze przestanie nam zagrażać.

Wtedy znów połączą się rozdzielone niegdyś wody górne i dolne, i wody górne przestaną zalewać dachy, a wody dolne przestaną podmywać fundamenty. Wtedy też uspokoi się ten wielki wzburzony ocean, w którego falach marynarze ceglanych okrętów walczą o życie i toną, i idą na dno jak kamienie, nie wiedząc o tym, że życia nie można stracić. Tonący marynarze, porzuciwszy nierealny wymóg dotarcia do portu, poddawszy się falom, doznają ulgi, kapitulacja przynosi ukojenie. Tak czy inaczej wszyscy - również ci którzy spoczęli już na dnie - powrócą bezpiecznie do domu.

Podobno ani piękniejsze sny, ani inne, lżejsze życie na nic nam się nie przydadzą. Być może, potrzeba nam tylko jeszcze większego zamętu coraz gorętszych pragnień, coraz bardziej dręczących pytań i coraz bardziej jałowych odpowiedzi, których ciągnięcie na los szczęścia - jak hazard bez wygranych - przynosi tylko udrękę. Lecz i udręka nie może trwać bez końca: zawsze zmierza ku przesileniu. Jest nadzieja, że blask, od którego oko do reszty przestanie rozróżniać kolory i kształty, obróci się w banalny obraz narożnika, szyldu nad sklepem, firanki w oknie, widok, z którego nic nie wynika. Zgiełk, od którego ucho do reszty przestanie rozróżniać dźwięki, przemieni się w łagodną ciszę jawy, tę samą, która przez cały czas trwała wewnątrz kamieni. Miażdżący napór myśli od którego głowa pęka - ukáže w końcu lekką i przezroczystą pustkę.

Niech pustka rozpościera się we wnętrzu każdej cegły i przenika wszystko na świecie: domy, słońce i gwiazdy, chmury na niebie, powietrze w płucach i płuca same. Dopiero wówczas ręka zacznie pasować do uchwytu narzędzia a czapka do głowy i klatka żeber przestanie oddzielać serce od reszty świata. Wtedy łatwiej będzie przyjąć oczywistą prawdę, że przygniatający nas ciężar nic nie waży. Miasto zrodzone przez drzewo świata n początku tej historii - nie istnieje, podobnie jak drzewo i jak my sami. Ale życie kamieni, nie znające troski o przeszłość i przyszłość, było i będzie: niezłomne, wolne od nazwy trwanie.

# ***KONIEC***